

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARII WIRTEMBERSKIEJ

Antologia

Teksty z rękopisów wybrała, opracowała i wstępem poprzedziła
ALINA ALEKSANDROWICZ

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Maria Wirtemberska w Puławach

Maria z ks. Czartoryskich Wirtemberska (1768-1854) fascynowała zawsze niecodziennym, prawie «romansowym» życiorysem i przyciągała uwagę historyków literatury jako autorka udanego romansu – *Malwiny, czyli Domyślności serca* (1816) i *Powieści wiejskich* (1819).

Córka Adama Kazimierza Czartoryskiego, znanego pisarza, działacza politycznego, mecenasa nauk i sztuk, oraz Izabeli z Flemmingów, twórczyni preromantycznych Puław, wychowywała się początkowo w warszawskiej siedzibie Czartoryskich – w Pałacu Błękitnym. W tym okresie Czartoryski, komendant Szkoły Rycerskiej, współorganizator narodowej sceny polskiej, autor dramatycznych sztuk, zdobył w stolicy zasłużoną renomę patrona życia kulturalnego i literackiego. Pałac Błękitny był znany zarówno wśród poetów poszukujących poparcia, jak i wśród przedstawicieli postępowej myśli Oświecenia. Izabela Czartoryska – przebywała w tym czasie najchętniej w Powązkach, rokokowej rezydencji podwarszawskiej. Jej szersza działalność kulturalna i literacka rozpocznie się później, w czasie pobytu w Puławach.

W roku 1782, na skutek nieporozumień z koronowanym kuzynem, Czartoryscy opuszczają Warszawę i przenoszą się do Puław. Zamierzają stworzyć tam dwór «godny monarchów», środowisko kulturalne i literackie oddziaływające na cały kraj, światłą rezydencję konkurującą z królewskim zamkiem.

Młodzieńcze lata Marii Anny, późniejszej księżny Winemburskiej, upływały w atmosferze zainteresowania literaturą, teatrem, sztuką. Historyk literatury mało mógłby chyba wymienić poetów czy pisarzy, którzy nie gościli w warszawskim Pałacu Błękitnym czy Puławach. Z Puławami, już w pierwszym okresie ich działalności (1783-1795), związany był ściśle nadworny śpiewak Czartoryskich – Franciszek Dionizy Kniaźnin oraz Józef Szymanowski, twórca estetycznych założeń polskiego rokoka. Gościł tu Franciszek Zabłocki, Józef Koblański, często przebywał Grzegorz Piramowicz i inni. Z Adamem Kazimierzem Czartoryskim, a później z jego synem – Adamem Jerzym – utrzymywał żywe kontakty wybitny pisarz i działacz – Julian Niemcewicz. Można go nazwać wychowankiem Czartoryskich, odbywał bowiem naukę pod kuratelą księcia generała w Korpusie Kadetów, a później – jako jego adiutant – przebywał w Puławach i w innych rezydencjach Czartoryskich.

Do wspomnień o atmosferze puławskiego życia wracać będzie Wirtemberska w czasie pobytu w Treptow (Trzebiatów) – rezydencji męża na Pomorzu. Po nieudanym, dziesięć lat trwającym małżeństwie z księciem Ludwikiem Wirtemberg-Montbeliard występuje w roku 1793 o rozwód. Małżeństwo, skojarzone przede wszystkim ze względów politycznych, okazało się bardzo niefortunne. Książę Ludwik był bowiem utracjuszem przysparzającym mnóstwa utrapień Czartoryskim, ponadto ciążył na nim zarzut narodowej zdrady. W czasie kampanii wojennej (1792), dowodząc frontem litewskim, działał na korzyść Prus i Rosji.

Po rozwodzie Wirtemberska przebywała najczęściej w Warszawie. Od roku 1798 do 1804 zimy spędzała w Wiedniu, a okres letniej kanikuli – w Puławach. W latach 1808-1816 prowadziła w Warszawie salon literacki mieszczący się w pałacyku przy ulicy Rymarskiej.

Zainteresowania literackie księżny, dochodzące do głosu już w czasie jej pobytu w Treptow, rozwinęły się w pełni po roku 1795. Kształtowały się one w emocjonalnej atmosferze nowych Puław – sentymentalnych i patriotycznych.

Po upadku niepodległości, kiedy przed społeczeństwem polskim pojawiła się tragiczna perspektywa zatarcia cech narodowych, Izabela Czartoryska powzięła decyzję powrotu do zdevastowanych w czasie wojny Puław i rozpoczęcia pracy nad ich odbudową. Puławy podjęły teraz misję pielęgnacji historycznych pamiątek i wspomnień o ojczyźnie. Zrywały w widoczny sposób z tonem rokokowych zabaw, z dominującą w Powązkach postawą ludyzmu i pasterskiej sielanki. Wedle zamierzeń Czartoryskiej miały się stać, na wzór starożytnych

«świętych okręgów», miejscem sakralizacji przeszłości – krzepiącej przyszłość. W budowlach zaprojektowanych przez wybitnego architekta Chrystiana Piotra Aignera, w Świątyni Sybilli (1800), a później i w Domku Gotyckim (1809), kolekcjonowano eksponaty mające słać chwałę polskiego oręza i ukazywać heroiczną przeszłość narodu. Wymowa tak pomyślanych muzeów była przejrzysta – nie może zginąć naród o pięknej i bohaterskiej tradycji. W Świątyni Sybilli, zwanej skarbnicą pamiątek, wyniesiono na najwyższy piedestał kult Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego. Historia polskich królów i wodzów, którzy dźwignęli potęgę państwa polskiego do rzędu mocarstw europejskich, miała napawać dumą i otuchą.

W swoim opisie Puław Izabela Czartoryska nie pominęła także Świątyni, która zawsze stanowiła największą jej dumę i chlubę: «Nad stromym brzegiem wznosi się świątynia cała z ciosów kamiennych odwzorowana ściśle i w tych samych rozmiarach, co Świątynia Sybilli w Tivoli. Jedyna różnica, że nie jest w ruinie [...] Tu umieściłam zbiory, które gromadziłam od wielu lat. Są to pomniki wypadków historycznych i osób znakomitych: portrety, pierścienie, łańcuchy, czary, zbroje, meble, listy, książki, manuskrypta, urny, medale itd.» Opisy pamiątek gromadzonych w Świątyni sporządzali puławscy poeci i domownicy, także Maria Wirtemberska. Z Puław promieniuje w tym czasie nie tylko emocjonalnie traktowany kult historii, ale i kult współczesnych bohaterów narodowych Tadeusza Kościuszki, a później także księcia Józefa Poniatowskiego. Rozwijała się i krzewiła aprobata «gotycyzmu», zapoznanej do niedawna architektury i sztuki, a przede wszystkim średniowiecznej kultury rycerskiej – bohaterów «bez skazy» i idealnych obrazów miłości, utrwalonych w poezji trubadurów i w romansach cyklu arturiańskiego, o Tristanie, Percewalu i in. Średniowieczna powieść rycerska od połowy XVIII w. przeżywała swój renesans. Przekładana i adaptowana, w nowoczesnym kształcie językowym odżyła w Anglii, Niemczech, a zwłaszcza Francji w kolekcjach Bibliothèque Universelle des Romans i Bibliothèque Bleue. Średniowieczne wątki literackie pojawiające się w *Malwinie* i *Niektórych zdarzeniach* mają wyraźnie puławską proveniencję. Idealizacja szeroko, choć swoiście pojmowanego gotyku – wzoru estetycznego, moralnego i obyczajowego – obok kultu natury to podstawowe wyznaczniki nadające ton kulturalnym poczynaniom tego ośrodka. O charakterze «gotycyzmu sentymentalnego» mówią m.in. zbiory i pamiątki zebrane z różnych krajów przez ks. Izabelę i jej krąg: popioły Heloizy i Abelarda w alabastrowej urnie, kostka z ręki Laury, szczątki szafki należącej do Petrarcki, rękopisy *Dworu miłości* z zamku de Romanin, trawki z grobu Fingala (bohatera Osjana), księga z miniaturami przedstawiającymi przygody rycerzy Okrągłego Stołu, szkło z lampy z katedry w Akwizgranie z imieniem Karola Wielkiego, i muszla z Loch Catherine, pamiątka po Walterze Scotcie, najgłośniejszym ówczesnie piewcy średniowiecza, i wiele innych.

Symbolem przejścia się nowym stylem był przekomponowany przez Jamesa Sawage'a ogród puławski. Plan parku podporządkowano prawom naturalności i swobody, wykorzystano wszystkie walory wyjątkowo malowniczego terenu zgodnie z zaleceniami Delille'a: «...kochający z uszanowaniem naturę przystraja ją bez obciążenia ubiorem, pobłaża czasem jej wdzięcznym dziwactwom, jej wspaniałemu zaniedbaniu się, jej krokowi najdostojniejszemu, i robi to przez swoją sztukę, że z pośrodku nieporządku i losu samego piękność wynika». Zrezygnowano z klasycystycznej symetrii alej i szpalerów, ze sztucznie utworzonego ładu i wymuszonej harmonii drzew, krzewów i kwiatów. Pierwotne różnicowanie między ogrodem górnym, o regularnym układzie alei, i tzw. Dziką Promenadą, znajdującą się w południowej, dolnej części parku, zostało zatarte. Nowy ogród, zwany przez historyków sztuki «romantycznym», podporządkowany został założeniom swobody, niekiedy nawet «dzikości». Oparty był na upowszechniających się coraz bardziej wzorcach ogrodu angielskiego. Zgodnie z nowymi kategoriami estetycznymi usuwano w tego rodzaju parkach sztywne granice między przyrodą pielęgnowaną a rozwijającą się spontanicznie, poszerzano perspektywy krajobrazowe. Czartoryska sięgając więc do niektórych założeń sztuki ogrodowo-rustykalnej Delille'a,

jednocześnie poszerzała je i uzupełniała doświadczeniami zdobytymi w czasie podróży do Anglii. Wbrew wskazaniom «piewcy ogrodów» wprowadziła swobodę inspiracji architektonicznej: w jej parku dominowało zmieszanie stylów widoczne w nawiązywaniu do antyku (Domek Gotycki), architektury chińskiej (Kiosk Chiński), klasycyzmu (Marynki). Chciała stworzyć ogród «inny od wszystkich», niepowtarzalny, uosabiający kult «wolnej natury». Park puławski łączył więc także w jednolitej, choć różnej formie krajobrazowej lasy, pola, łąchy wiślane, nawet prawdziwe chaty wiejskie i łąki z pasącym się bydłem.

Człowiek pierwszych dziesięcioleci XIX wieku poszukiwać zaczął idei różniących się od tych, które proponowała mu literatura sławiąca wartości sprawdzalne przez Rozum i Doświadczenie. Ogrodowym koncepcjom Izabeli Czartoryskiej patronowała ta sama myśl przewodnia, która nakazywała pisarzom tych lat interesować się światem ludzkich przeżyć i sławić uczucie jako najwyższą w życiu wartość.

Puławy zyskują w tym okresie rangę ośrodka, z którego promieniują idee określane dziś mianem sentymentalizmu, dając początek nowym, preromantycznym tendencjom, przygotowując grunt dla wielkiego odrodzenia poezji i literatury. Druga generacja pisarzy związanych z Czartoryskimi: Julian Ursyn Niemcewicz, Ludwik Kropiński, Jan Maksymilian Fredro, Paweł Woronicz, Józef Lipiński, Feliks Bernatowicz, wnosi do literatury zainteresowanie uczuciową stroną życia ludzkiego; w utworach ich pojawiają się próby analizowania zróżnicowanych doznań psychicznych. Po roku 1805 wzrasta w Puławach rola Marii Wirtemberskiej w aktywizowaniu życia literackiego i rozrywkowo-zabawowego. To «Księżna Wirtemberska – wspomina Leon Dembowski – zaprowadziła ten zwyczaj, że każda panna miała swego *cavaliere servante*, którego obowiązkiem było wybraną damę otaczać szczególniejszą atencją i uszanowaniem. [...] Za tę służbę dostawał się czasami wdzięczny uśmiech, czasami dewiza, zawsze przyjaźń, a czasami miłość, która się kończyła małżeństwem. Choćby jednak do tego nawet i nie przyszło, zawsze ten obyczaj zaszczepiał w młodzieży grzeczność i rozbudzał *un esprit de galanterie chevaleresque*.»⁵

Wokół księżny zaczyna się skupiać wielu poetów, nierzadko serdecznych jej adoratorów. Pisarzy pociąga wdzięk i talent Wirtemberskiej. Wielkie zainteresowanie i współczucie budzi także jej nieszczęśliwe życie, tak bardzo przypominające dzieje sentymentalnych heroin: nieudane małżeństwo z Ludwikiem Wirtemberskim, skrywane uczucie do «rycerza», księcia Józefa Poniatowskiego, tragedia matki, której odebrano i zniemczono syna. Szczególnie wiele utworów poświęcili księżnie – literackiej Halinie, Malwinie lub Lucynie – Ludwik Kropiński i znacznie młodszy od niej Jan Maksymilian Fredro, starszy brat znanego komediopisarza. Jeśli wierzyć Kajetanowi Koźmianowi (a wieść tę potwierdza także aluzja w wierszu Kropińskiego), również Aleksander Linowski znalazł się na liście tych osób, które darzyły sentymentalnym, «rycerskim» uczuciem Wirtemberską – bogdanek serca, literacką inspiratorkę i protektorę.

I w stylizacji uczuć, i w konwencji życia towarzyskiego dochodziła do głosu fascynacja rycerskim gotykiem. Fredro podpisywał często utwory kierowane do księżny «trubadur», a Kropińskiego uznano w Puławach i Sieniawie za *cavaliere servante* Wirtemberskiej: wiernego rycerza noszącego «barwy» swojej damy.

Przyjaźń łącząca tych pisarzy z Marią Wirtemberską to rozdział w jej biografii dotąd nie znany. Na skutek nieporozumień literackich, przeistaczających się tak łatwo w legendę, pisano wiele o Książniczce jako o poecie darzącym nieszczęśliwym uczuciem Wirtemberską. W istocie ani zachowana korespondencja, ani inne materiały biograficzne nie potwierdzają, by Książniczka adorowała ją głębiej, wyraźnie natomiast wskazują, że to Kropiński «stał się serca ofiarą». Dzieje tej miłości stanowią interesujący przykład próby sprowadzenia wyidealizowanych pojęć sentymentalnych na grunt rzeczywistości, która, oczywiście, okazała się oporna dla realizacji egzaltowanych marzeń o sielance poety i pięknej damy. Być może i o tym uczuciu myślał Kajetan Koźmian pisząc o «puławskiej idylli»: «W czasie swoim Puławy były wy-

kształconą Polską, miały przecież sobie tylko właściwy i odrębny ton, sposób, zwyczaj, obyczaj, czucia, wyobrażenia, wzór powabny najtrudniejszy do naśladowania dla Polaków, najniezwyklejszy dla tych, którzy się pokusili nie udawać. Była to Pafos czy Cytera polska, Owidiusz jaki mógłby bardzo interesujące wydać metamorfozy z tych nimf i najad nadwiślańskich...»

Kontakty Kropińskiego z Wirtemberską rozwijać się zaczęły po jej rozwodzie w roku 1793. Mówią o tym wzmianki w korespondencji księżny oraz ofiarowany jej przez poetę w grudniu 1795 r. zbiór pierwszych młodzieńczych wierszy. Wybrane listy i ody Kropińskiego z tego zbioru otwierają tomik prezentowany właśnie czytelnikom. Wiersze młodego Kropińskiego noszą wszystkie cechy późniejszej, i tak dla niego charakterystycznej, poetyki. Konwencje klasycystyczne, widoczne jeszcze w *Odzie I – Do Dionizego Książnina* oraz w *Odzie III – Do Boga*, czy w *Odzie IX – Do Czasu*, ustępują już wyraźnie miejsca poetyce sentymentalnej, dochodzącej przede wszystkim do głosu w cyklu wierszy lirycznych poświęconych Lucynie. Nazwane odami nie mają już cech tego «wysokiego», retorycznego gatunku, ewoluują wyraźnie w stronę liryki bezpośrednich wyznań, prostej mowy uczuć. Obok wierszy intymnych, odwołujących się bezpretensjonalnie do uczuć tęsknoty, niepewności, niepokoju na widok «obojętnej Lucyny», pojawiają się tu i swobodne żarty poetyckie, z humorem potraktowane mistyfikacje, szermujące swobodnie poetyką wierszowanej heroikomiki (*Listy do Matuszewicza*, *Odpowiedź Matuszewicza* itd.). Autor także młodzieńczych, choć trochę późniejszych, *Muz i Pęzla żartów* sławiąc «przyjacielską radę» w dalszym ciągu lubi – jak pisze w liście II – «grywać na lirze lekkie żarty», ale stroni już od mitologu, rokokowych personifikacji i pełnych gracji zawitych konceptów. Ten żołnierz, ranny w czasie Insurekcji, z trudem powracający do zdrowia, potrafi wszystkie swoje doświadczenia i rozczarowania zawrzeć w odzie, która jest jednocześnie satyrą na zdrajców oraz najwyższą pochwałą przyjaciół i Lucyny – Marii Wirtemberskiej (por. Oda VI). Posłuży się wzorcem ludowej piosenki, gdy chce wyśpiewać «milej swej wdzięki» (sposób tak typowy dla naszej liryki sentymentalnej):

Jakże podobny Lucynie
Ten mały strumyk, co płynie:
Jej to obraz oczywisty,
Bo i spokojny, i czysty.
(*Oda X*)

Sięgnie do sztafażu obowiązującego sentymentalnego kochanka, którego «pociechą jedyną być nieszczęśliwym», a w rezultacie stworzy w języku poetyckim pomost wiodący ku autorowi *Ballad i romansów*.

Kiedy twoje spotkam oczy,
Nie pomyślę, czym widziany,
Już się w stronę wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany.
(*Oda XIV*)

Kropiński, uczestnik walk narodowych w roku 1794, obok miłości sławi również Wolność i Ojczyznę. Jest rzeczą znamioną, że tomik wierszy ofiarowanych Wirtemberskiej rozpoczyna odą *Do Dionizego Książnina*, związaną – jak sam wyjaśnia w przypisie – z rewolucją francuską. Ale obraz rewolucji pełni tu funkcję metafory politycznej, pozwalającej na aluzje i napomknięcia dotyczące sytuacji Polski. Służy bowiem krzepieniu serc rodaków wizją «wchru» Wolności, czasu – «gdy nasza Wisła twarde zrzuci lody».

Najczęściej jednak smętny poeta posługuje się formą liryki bezpośredniej, przywoływanej zawsze, gdy pisze o Lucynie, gdy w tkanę wiersza wplata realia z konkretnych wydarzeń lub zabaw puławskich i sieniawskich.. Niekiedy autobiograficzny podkład tych utworów jest łatwo wyczuwalny. Kropiński, wierny i niezawodny przyjaciel Czartoryskich, ceniony był zawsze w Puławach jako oddany sojusznik rodu i utalentowany poeta. Środowisko dworskie akceptowało go chętnie jako przybocznego rycerza Winemberskiej, czulego trubadura, i w tych ramach chciało utrzymać sentyment poety. Sytuacja skomplikowała się w momencie, gdy tkliwy przyjaciel wystąpił nieoficjalnie jako pretendent do serca i ręki księżny. Odrzucał więc konsekwentnie propozycje Wirtemberskiej, która chciała go ożenić z wychowanką Puław, Marianną Dzierżanowską, demonstrował swój smutek i zniechęcenie do życia. Manifestacyjnie zaniedbywał zdrowie zniszczone poważnie w 1794 roku, groził, że zaprzestanie leczyć oczy, co mogło się skończyć ślepotą.

Obiektywna sytuacja Kropińskiego jako przyjaciela i adherenta Czartoryskich miała już wówczas charakter ustalony. Korzystał on niekiedy z pomocy materialnej patronów oraz z ich protekcji, ale ta zależność maskowana była jego uprzywilejowaną pozycją i osobistą przyjaźnią z domem puławskim. Poeta, który od roku 1808 był właścicielem pięknego Woronczyna, a w r. 1812 awansował na generała brygady, nie może na pewno stanowić typowego przykładu artysty-klienta uzależnionego ściśle od mecenasa. Mimo względnie samodzielnej pozycji nie miał on wszakże za sobą argumentów popartych tytułem i fortuną, poręczających możliwość małżeństwa z córką znanego rodu. Ale przeszkód tych poeta, dążący do realizowania w życiu osobistym wyznawanych ideałów, nie mógł zrozumieć. Listy tego sprawnego i trzeźwego plenipotenty Adama Jerzego Czartoryskiego w dobrach podolsko-wołyńskich, pełne gorzkich aluzji i niedomówień, zaczynających się często w momencie, kiedy zakończone zostały już obliczenia dotyczące intraty z «pańszczyźnianych dusz», stanowią ciekawy przejaw obyczajowości sentymentalnych. Dużo tu melancholii, owych «radosnych smutków», tak dobrze oddających uczuciowość ludzi pierwszej połowy XIX wieku, wiele przejawów «smakowania łez», «rozkoszy nurzania się w smutku i zgryzocie» i «nieszczęścia przekładanego nad wszelkie szczęściem».

Poeta ożenił się jednak, mimo «trudnych do zgojenia ran», w 1818 roku z młodą panną – Anielą Błędowską. Dla Czartoryskich pozostał zawsze symbolem oddanej przyjaźni. W roku 1844, po śmierci poety, Adam Jerzy pisał do Wirtemberskiej: «Biedny Kropiński skończył. Straciliśmy w nim najdawniejszego i niezmiennego przyjaciela. Będziesz go żałować, tak jak ja go żałuję. Będziesz przypominać wszystkie jego przymioty i wszystkie ubiegłe lata i tyśiączne wspomnienia, do których należał.»

Sentymentalną adoracją czczył również Wirtemberską młodszy od niej o dziesięć lat Jan Maksymilian Fredro. Na podstawie jej listów do Adama Jerzego Czartoryskiego można sądzić, że rozwój znajomości ze starszym bratem znanego komediopisarza datuje się od roku 1801, kiedy to na lato przyjechała z Wiednia do Puław, których Fredro był wychowankiem. Zawsze mile widziany w salonach i rezydencjach magnackich, słynął z pięknej postawy, talentów towarzyskich i niezbędnej w tych czasach «czułości». On również, podobnie jak Kropiński, zapewniał Wirtemberską o wielkim i dozgonnym uczuciu. Podobnie jak autor Ludgardy, gotów był dokumentować swą stałość cierpieniem czy nawet śmiercią, o czym Wirtemberska z humorem, a zarazem i triumfem, oznajmiała bratu. Ona patronowała Fredrze także w początkowej karierze na dworze rosyjskim, w r. 1815 skłoniła brata, aby wyjednał mu funkcję fligeladiutanta Aleksandra I.

Trudno ustalić, ile poetyckiej stylizacji, a ile prawdy kryła młodzieńcza i egzaltowana miłość Fredry. Wirtemberska, choć wierzyła w szczerść jego uczuć, odpowiadała zawsze, że może go darzyć tylko sentymentem przyjaciółki. Pewne natomiast, że Fredro, podobnie jak Kropiński, składał jej hołdy literackie, że przysyłał Marii próbki swoich pism i tłumaczenia. Ten mało znany poeta, pozostający zawsze w cieniu utalentowanego brata, pojmował do-

słownie obowiązki trubadura. W utworach pełnych melancholii i poetyckiego wdzięku opiewał miłość i jej przedmiot – nieczułą lub obojętną Halinę. Ta liryka konfesyjna, «przyciszona» w swoim wyrazie, mówi o poetyckim talencie pisarza, później znanego już tylko jako twórca historycznych dram. Utwory młodzieńcze Fredry, podobnie jak i wiersze Kropińskiego, ukazują patriotyczne zaangażowanie obu poetów, którym nieobca jest żołnierska troska o losy gnęzionej Ojczyzny. Jakże daleko odejdzie Fredro w wieku dojrzałym od młodzieńczych ideałów wyrażonych w wierszu z r. 1809 – *Marzenie moje w chorobie!*

Utworów tego pisarza ocenić jednoznacznie nie można. Obok świetnych liryków (np. *Do słowika*, *Do Haliny*, *Napis położony pod sylwetą Haliny*), odnajdujemy wśród jego dziełek ofiarowanych Wirtemberskiej *Moje dumania*, które mogą uchodzić za młodzieńcze wypracowanie na temat obiegowych w epoce schematów literackich. *Moje dumania* (por. s. 135-s. 147) to rodzaj ćwiczenia, wprawki opartej na modnym sztafażu sentymentalnym, nie pomijającej w zasadzie żadnego elementu emocjonalnej ambiwalencji uczuć i melancholijnej tęsknoty. Wybuchy rozpaczy i refleksje bohaterów Chateaubrianda – istniejących w realnym świecie «...jeno przez smutek swej duszy i przez wiekuiastą melancholię myśli» – przeniesione w oswojoną dzikość puławskiego parku brzmią: «Wieleż to ludzi [...] zawsze jednakowo dzień po dniu przebywają. Może są oni szczęśliwymi w tej zimnej nieczułości, ale przecież nie zazdrozczę im tego; wolę moją niedolę niż ich szczęśliwość [...] nurzać się w smutku i zgryzocie rozkosz znajdowałem [...] Nie mogąc być szczęśliwym chcę być najnieszczęśliwszym!» (s. 141-145). Utwór to istotnie usiłujący zawrzeć postulaty najbardziej ówczesnie nowatorskiej poetyki – wyzyskujący w formie melancholijnego «dumania» tradycyjną strukturę prozy menipejskiej, zacierającej granice między wierszem i prozą. Introspekcja psychologiczna rzucona na odpowiadający stanowi bohatera opis natury – daje w rezultacie czysty schemat obnażający podstawowe konwencje przyjmowane dziś za główne kwalifikatory sentymentalizmu. *Moje dumania* miały być także sztambuchowym pożegnaniem z heroiną serca i drogimi Puławami. Bo utwory swoje składał Fredro księżnie w dowód uczucia przyjaźni i miłości, ofiarowywał je bogdancie na wiązanie, tak jak kwiaty wręczane z okazji uroczystości rodzinnych czy świąt. Z Wirtemberską należy więc łączyć interesujący, «prywatny» niejako, nurt twórczości puławskiej. Część pisarstwa mająca charakter intymny i poufny, niekiedy pióra znanych poetów, przeważnie nie publikowana, składa się na ciekawe archiwum przyjaźni sentymentalnej, pełen uroku «wirydarzyk serca». Archiwum owo mieści także utwory ludyczne, żartobliwe, oddające dobrze beztróską atmosferę życia towarzyskiego, rozwijającego się w Puławach i Sieniawie. Listy Kropińskiego do Matuszewicza, *Herbata z winem* Aleksandra Linowskiego to utwory programowo dygresyjne, gawędziarskie, posługujące się chętnie prozaizmami i kolokwializmami, ciekawy przejaw literatury środowiskowej. Trzeba bowiem pamiętać, że w rozpoetyzowanych rezydencjach Czartoryskich walczone najchętniej, co potwierdzają pamiętnikarze, nie na szpady, lecz na wiersze, a literatura inspirowała tu stale życie obyczajowo-towarzyskie i na odwrót. Liryki, listy przyjacielskie, małe formy literackie, wygrzebywane ze spisywanych systematycznie «skarbczyków pamięci» mogą wzbogacić literacką wiedzę o środowisku puławskim i obyczajowości sentymentalnych.

Maria Wirtemberska należy wciąż do tych autorek polskich, których twórczość dostarcza zaskakujących niespodzianek. Mimo wielu opracowań interpretacyjnych, niezależnie nawet od zainteresowań, jakie budziła u współczesnych, okazuje się pisarką o dorobku w dużej mierze zagubionym w materiałach archiwalnych. Jest to zjawisko dość intrygujące, ponieważ zarówno literacki życiorys autorki *Malwiny*, jak i biografia środowiska puławskiego, znajdują się stale w centrum rozważań budząc dyskusje i wywołując polemiki. Ten swoisty paradoks naszego piśmiennictwa – zapoznanie cenionej pisarki – wytworzył się na skutek skomplikowanej sytuacji politycznej i literackiej Polski porozbiorowej. Okres niespełnionych nadziei na odzyskanie niepodległości, upadek powstania listopadowego, pobyt Czartoryskich na emigracji w Paryżu, wreszcie wspinały rozwój literatury romantycznej, przynoszącej nową koncep-

cję życia i świata – wszystko to nie sprzyjało zainteresowaniu się pisarstwem pierwszych dziesięcioleci XIX wieku. Literatura preromantyczna, ciągle jeszcze wymaga gruntownych badań i szeroko zakrojonych edycji, które umożliwiłyby pełniejszą rekonstrukcję kultury i obyczajowości tych czasów.

II

«Błękitne soboty» Marii Wirtemberskiej

«Muz i Pęzla żarty»

Salon Wirtemberskiej działał w pobliżu Leszna, przy ulicy Rymarskiej, w latach 1808-1816, i był otwarty przez cały rok z wyjątkiem lata, które księżna zwykła była spędzać w Puławach, w Pilicy – własnej rezydencji podwarszawskiej – czy u wód zagranicznych. Spotkania odbywały się systematycznie w ściśle przestrzegany *jour fixe* – w sobotę. Zgodnie z obyczajem wszystkich salonów i pałacyk na Lesznie skupiał grono stałych bywalców.

Na obiadach literackich, zwanych «błękitnymi sobotami», gościli pisarze i poeci spotykani także i w innych rezydencjach Czartoryskich – tacy jak Julian Ursyn Niemcewicz, Aleksander Linowski, Tadeusz Matuszewicz, Jan Maksymilian Fredro, Józef Lipiński, Ignacy Nosarzewski, Franciszek Morawski. Ludwik Kropiński przebywał w tym czasie w Woronczynie, skąd słał do Wirtemberskiej listy przepelnione melancholijnym uwielbieniem. Ale to właśnie on, w wydanych drukiem dopiero w 1844 *Muz i Pęzla żartach* – pisanych, jak twierdzi autor w przedmowie *Do czytelnika*, w roku 1796, a możemy się domyślać, że i w okresie działalności salonu Wirtemberskiej – wyraził najpełniej pół rokokowe, pół sentymentalne upodobania polskich *précieuses*. Konwencja *préciosité*, obecna we wczesnej twórczości Franciszka Dionizego Książnina i Józefa Szymanowskiego, odżyła raz jeszcze, podbarwiona mocno pierwiastkami autobiograficznymi. Bardziej przekonujące były żale miłości, jeśli wdzięczny przedmiot uczuć, faktycznie niedosiężny, miał jednak postać realną i konkretną.

Salon księżny miał więc założenia podobne do kółek przyjacielskich, opierał się na autentycznych i trwałych spójniach między ludźmi. Francuski historyk kultury, René Bray, nazywa ten typ salonu «gabinetowym», kameralnym. Salon Wirtemberskiej nie był tak reprezentacyjny i okazały jak salon Stanisława Kostki Potockiego przy Krakowskim Przedmieściu, skupiający wielu artystów, uczonych i literatów. Nie miał własnego teatru amatorskiego jak salon Stanisława Małachowskiego ani tak błyszczącego towarzystwa jak pałac Pod Blachą, łączący ludzi oddanych głównie zabawom i rozrywkom, słynny z balów, scen mimicznych, żywych obrazów. Z drugiej strony spotkania w domu Wirtemberskiej nie przeistaczały się w uczone posiedzenia wybitnych literatów i mężów stanu na wzór salonu Stanisława Sołtyka czy Lancorońskiej, kasztelanowej połanieckiej.

Bardziej uroczyste przyjęcia i ansamble, niezbyt często zresztą organizowane przez księżnę, gromadziły śmietankę arystokracji stołecznej. Brali w nich udział książę Józef Poniatowski, Helena Radziwiłłowa, Zofia Zamoyska (siostra księżny), Zofia Kicka, niekiedy «Bobo» – pani Vauban. Ale rozgłos i znaczenie zdobyły tylko literackie soboty Wirtemberskiej. Zafascynowały stolicę swoim niecodziennym charakterem i próbą nawiązania do wzorów Hotelu de Rambouillet, dawno już zapomnianych. Izabela Czartoryska informowała córkę z uznaniem, że jej literackie obiady porównuje się do zgromadzeń *précieuses*, a ojciec nie omieszkał zawsze dodać, że polski Hotel de Rambouillet nie ma tych śmiesznośtek, które (oczywiście po *Wykwintnisiach* Moliere) zwykło się upatrywać w działalności dam wytwornych.

Paralela: salon Wirtemberskiej i Hotel de Rambouillet, miała wprawdzie uzasadnienie, ale tylko częściowo. Salon markizy działał w Paryżu w latach 1615-1665 skupiając najbardziej wytworne towarzystwo Francji; gościli tu znani pisarze – Malherbe, Yvetaux, Racan, Chapelain, a w drugiej połowie stulecia, kiedy organizacją salonu zajęła się córka pani de Rambouillet – Julia, w posiedzeniach uczestniczyli panna de Scudery, poeci: Scarron, Corneille, Benserade i inni.

Po śmierci pani de Rambouillet w Paryżu pojawiły się następne salony kontynuujące tradycje *précieuses*. Ustaliła się w tym czasie konwencja spotkań kameralnych, zamkniętych,

półprywatnych. Panie przyjmowały gości w zacisznych pokojach nie przypominających w niczym uroczystych sal. Wykwintne towarzystwo wysoko ceniło dowcip, gust, wiedzę nie obciążoną pedantyczną erudycją, zręczną konwersację, finezję słowa. Bywalczy salonu dyskutowali przede wszystkim na temat ludzkich uczuć, ich przejawów, odcieni, rodzajów. Normą podstawową i czynnikiem decydującym o charakterze salonu był nakaz oglądy, przy prostocie wysłowienia – elegancja języka. W konsekwencji język warstw wykształconych odcinał się coraz bardziej od języka ludu, żargonów i gwar środowiskowych – tracąc na jędrności i dosadności zyskiwał giętkość i czystość. W literaturze zjawisko to doprowadziło do powstania wysublimowanego i klarownego języka, z precyzją oddającego pojęciową mowę myśli, idei i najsubtelniejsze drgnienia uczuć. Z tego kręgu wyszły *Maksymy* (1665) La Rochefoucaulda, *Księżna de Clèves* (1678) pani de La Fayette i tak w Puławach czczone listy pani de Sévigné. Środowisko *précieuses* odnawiało również pewne pierwiastki średniowiecznej kultury towarzyskiej w stylizowanych zabawach. Wzorem były tu przede wszystkim dawne trybunały miłości i dworne postawy trubadurów. Niektórzy autorzy rezygnowali celowo ze sławy pisarskiej – w sekretarzykach, w almanachach, w ręcznie kaligrafowanych zbiorach zalegały utwory o zasięgu kameralnym, ograniczonym już w intencji twórców do szuflady wybranki serca. Z tych tendencji rodziły się pomysły w rodzaju *Girlandy Julii* (zbioru madrygałów i sonetów – w każdym jakiś kwiat składał hołd pięknej córce pani de Rambouillet) oraz romanse panny de Scudéry, d'Urfego i innych rozwijające całą kazuistykę miłości. Ten typ twórczości literackiej o kierunku barokowego konceptyzmu – tak żywego we wszystkich krajach siedemnastowiecznej Europy – podejmował wątki miłosne i przygodowe wywodzące się już nie z antyku, ale z literatury średniowiecznej i podszytej fantastyką historii.

Salon księżny Marii nawiązywał do wzoru *précieuses*, ale jednocześnie znacznie go modyfikował. Posiedzenia odbywały się w małym, przytulnym pokoju, pełniącym jednocześnie funkcję salonu i jadalni. Księżna nie posuwała zasady swobody i intymności spotkań do przyjętego –nawet przez polskie damy wielkiego świata – zwyczaju otwierania zacisznej alkowy niewieściej i gotowalni, gdzie goście rozsiadali się dowolnie po kątach, przy łóżku, na podłodze. W jej salonie obowiązywał wdzięk, naturalność, ale także umiar obyczajowy.

Dzień spotkań literackich i towarzyskich nazwany został «błękitnym». Nazwa to znacząca – dla jej wytłumaczenia odwołać się należy do tradycji ustalonej przez grono pań wytwornych. Błękit był sztandarowym, programowym niejako kolorem Hotelu de Rambouillet. Pokój błękitny markizy, sanktuarium Hotelu de Rambouillet, zyskał rangę symbolu pełnej wdzięku intymności i wyrafinowanego intelektualizmu. Tu gromadziły się damy, tu przebywali poeci, muzycy, aby sycić się wrażeniami artystycznymi i dyskutować na tematy interesujące «piękne dusze» Paryża. Natomiast sobotę, jako szczególnie dogodny *jour fixe*, wprowadziła nieco później panna de Scudéry, ta właśnie, która posiedzeniom literackim nadała jednolitą tonację «brewiarza miłości», oczywiście nie traktowanego zbyt serio, czego dowodem może być zamieszczona w jednej z jej powieści tzw. Mapa Czułości – żart towarzyski wymyślony w salonie.

W pałacyku przy Rymarskiej funkcje rozrywkowe spotkań, zabawa w literaturę, przystosowanie poezji do wymagań gry towarzyskiej, dominowały przede wszystkim w pierwszych latach salonu. Po roku 1812, w związku z nową sytuacją polityczną Polski i wstrząsem osobistym, jaki przeżyła Maria po śmierci księcia Poniatowskiego, obserwuje się wyraźną ewolucję dworskiej korporacji, uwieńczoną ostatecznie wydaniem *Malwiny* i narodowo-patriotycznymi manifestacjami.

Zachowany w archiwum Czartoryskich rękopis, pt. *Błękitne soboty* zebrane w roku 1808, jest typowym przykładem twórczości przyporządkowanej konwencji *jeu de l'amour*, popularnej w średniowiecznej Francji, a odnowionej w osiemnastowiecznych salonach – moda *genre troubadour*. Gra w miłość, realizująca się w formułach językowych i literackich oraz w sposobach zachowań, nigdy w praktyce życiowej, gra nie przekraczająca normy dobrego smaku i

wytworności, była jednym z głównych zajęć salonowej koterii i głównym wątkiem powstających tam utworów. W tym kierunku rozwijały się początkowo zainteresowania uczestników «błękitnych sobót» Wirtemberskiej, którzy jednoczyli swe talenty, aby wypowiadać się równie dwornie jak żartobliwie na temat miłości. Czytane w salonie utwory o cechach swobodnej zabawy, nie przeznaczone do druku ani szerszego kolportażu, służyć miały towarzyskiej rozrywce. Nie dbano więc o artystyczne cyzelatorstwo czy o barwność stylistyczną. Na ogół można je traktować jako robocze wersje tekstu nie poddawane już dalszemu opracowaniu.

Wiersze umieszczone w zbiorze, choć pochodzą od różnych autorów, są jednak utrzymane w jednolitej, konceptystyczno-rokokowej barwie. Nie ma w nich prezentacji wewnętrznych stanów emocjonalnych czy obrazu zróżnicowanych psychologicznie i uczuciowo doznań ludzkich. Miłość jest grą, miłość jest wdzięcznym ceremoniałem sprawowanym przez skrzydlatego Kupidyna, i ta naczelną koncepcją organizuje wszystkie utwory nadając im jednolity, wdzięczny i pełen rozigranej lekkości charakter. Świat przedstawiany zaludniają więc postacie mitologiczne – przede wszystkim Wenus-Cytera-Cyprys, Kupidyn, Zefir, Junona i związane z nimi personifikacje: Obojętność, Wabność (Kokieteria), Lenistwo, Zawieść, Przyjaźń, Piękność, Cnota itp. Dworne wiersze przeistaczają się często w anegdotyczne opowiadki: Ignacy Nosarzewski w jednym z utworów przedstawia więc skuteczne uśmierzenie Kupidyna przez Lenistwo, Józef Lipiński – reduty bogów Olimpu, w czasie których wszyscy zamieniają postać, ale akcja ogniskuje się wokół Miłości i Obojętności, Julian Ursyn Niemcewicz daje sfabularyzowany opis literackich sobót, Jan Maksymilian Fredro ubiera w kostium Kupidyna «przygody swego serca» itd. Wprowadzenie do wierszowanych utworów Kupidyna, Wenus, ukazujących w różnych sytuacjach, zawsze w działaniu, nadaje tym miniaturom poetyckim postać opowiadań mających zawsze tych samych bohaterów akcji i wspólny motyw tematyczny. Narracyjność podkreślana jest tu rymem, najczęściej stychicznym lub nieregularnie mieszanym, właściwym oświeceniowej bajce i wierszowanej przypowieści (np. *Reduta na Olimpie*). Być może źródłem i inspiracją dla tych igraszek pióra był nie wydany, choć już ozdobiony pięknymi ilustracjami, rękopiśmienny tomik Ludwika Kropińskiego z r. 1796: *Dzieło miłości, czyli Muz i Pęzła żarty*. W wydaniu z r. 1844 opatrzył je poeta adnotacją: «Giovanni Gherardo de Rossi jest autorem dzieła pod tytułem *Scherzi Poetici e Pittorici*. Tego w jednej części jestem tłumaczem z pewnymi odmianami, w drugiej naśladowcą.» Dobrze też mieści się w almanachu opowiadka Izabeli Czartoryskiej o skrzydlatych amorkach i różnych rodzajach miłości.

Podstawowa wartość i znaczenie tych «zabawek wierszem» leży w ich poetyce, w ich konwersacyjno-narracyjnym charakterze. Język wiersza oświeceniowego, obciążony jeszcze tak silnie retorycznością, tak programowo odległy od mowy potocznej, tu zbliża się w swobodzie i lekkości tonu do stylu rozmowy salonowej. Łączy te cechy, które spotykamy w najlepszych bajkach Krasickiego i Trembeckiego, z żartobliwą lirycznością słownictwa tworząc miniaturowe opowiadki i przypowieści zakończone zwykle dowcipną pointą.

W wierszach z Błękitnych sobót przywołujących stereotypowe akcesoria Kupidyna, Wener, Zefira (łuk, strzały, kołczan, przepaska, skrzydła itd.), pojawiają się jednak motywy nowe, znamienne dla literatury sentymentalnej. Przy próbach analizy obrazu uczuć, próbach dysfunkcji jakości doznań emocjonalnych, sympatia narratorów opowiadań zwróci się – rzecz znamieną – w stronę Czułości, a nie «Wabności», jak zwano kokieterię. Niemcewicz pisał na temat zalotnego afektu:

Można się z tobą pośmiać i zabawić,
Ale z Czułością lepiej życie trawić.

Wreszcie, w innym z utworów, dochodzi do głosu znamienne dla polskiej literatury okresu, przełamujące stereotyp dworskości przekonanie o nadrzędnym miejscu «pierwszej miło-

ści», którą jest «miłość Ojczyzny Świętej». I tak oto spoza toposu Wenery i Kupidyna prze-
błysnął nagle pozornie stary i wyszarzały, ale zawsze w naszej literaturze sentymentalnej
obecny, topos «świętej miłości Ojczyzny». Wprowadził go, rzecz znamienna, czołowy poeta i
działacz owych czasów – Niemcewicz, autor *Powrotu pośła*. Motyw patriotyczny pojawi się
także nieco później i w utworach Winemberskiej, kiedy autorka ustalać będzie naczelną cechy
bohatera romansu o domyślności serca, kochanka, ale zarazem i rycerza walczącego w obro-
nie kraju.

III

Synonima polskie

W pałacyku Wirtemberskiej, podobnie jak w innych salonach działających w czasach Księstwa Warszawskiego, popularne były gry towarzyskie. Bawiono się w improwizacje, szarady, rebusy, przysłowia i w coraz bardziej popularną synonimikę. Były to gry wymagające dobrze wyszkolonego *esprit*, nie tylko wiedzy, ale i ogłady intelektualnej. Można sądzić, że nie bez wpływu na pewną intelektualizację zabaw dworskich w Polsce był kryzys dawnego typu rezydencji magnackiej i obyczajowości arystokracji. Licznym zjazdom sąsiedzkim, reprezentacyjnym balom, polowaniom, wożom w kilkadziesiąt karoc przeciwstawiano model bardziej wyrafinowanej kultury towarzyskiej, obliczonej na udział nie tylko arystokracji, lecz także wyraźnie się już kształtującej nowej warstwy społecznej – inteligencji. Przesuwanie punktu ciężkości z pozycji społecznej oraz herbów i fortuny na walory edukacji, dowcipu i elegancji było bardzo znamienne. Oznaczało bowiem inną podstawę organizacji życia salonowego, niż nakazywały to kryteria tylko socjalne czy majątkowe.

W salonie Wirtemberskiej zmniejszyły się przedziały stanowe i dystans dzielący mecenasa od klienta. Klient nie tworzył już dla swego patrona czy patronki ubrany w togę nadwornego śpiewaka. Tworzono i bawiono się wspólnie. Gry intelektualne i towarzyskie przekształcały się niekiedy w gry literackie, które prowadziły z kolei do powstawania ciekawych form poetyckich i prozatorskich. W salonie Wirtemberskiej najbardziej popularne stały się «synonimy». Pisano je powszechnie, właśnie pisano – nie zestawiano. Ta różnica między sposobami ich interpretowania jest odbiciem tak charakterystycznej u nas dla pierwszych dziesięcioleci w. XIX tendencji do ulepszania i wzbogacania języka polskiego. Z jednego bowiem pnia, mianowicie myśli wydania dykcjonarza synonimów polskich i wzbogacenia uroków mowy ojczystej, wyrosły trzy rodzaje realizacji pomysłu: literacki – prowadzący do powstania samodzielnych powiastek i wierszy; językoznawczy – przynoszący traktaty na temat różnic między bliskoznaczącymi pojęciami – i ściśle słownikowy – grupujący w najbardziej skondensowanej formie szeregi bliskoznaczników wokół głównego hasła. U źródeł artystycznie wymodelowanej odmiany synonimów tkwiły inne, nie naukowe dążenia. Do tradycji ustalonej przez kulturę *précieuses* należała analiza właściwości danego słowa oraz precyzacja pojęć z zakresu języka uczuć. Innowacje lingwistyczne Hotelu de Rambouillet oraz jego zainteresowanie odcieniami semantycznymi bliskoznaczników określają jeden krąg tradycji polskiego salonu pierwszej połowy XIX wieku. Druga sfera oddziaływania jest bliższa i bardziej swojska.

Dla polskiego społeczeństwa przełomu wieków rozbiory i upadek niepodległości były wstrząsem nie mniejszym niż rewolucja francuska dla zachodniej Europy. Uświadomiły one konieczność prac nad ugruntowaniem polskości, konieczność pielęgnacji tych cech, które różnią jeden naród od innych. Umiłowanie wspomnień o dawnej ojczyźnie, rodzimego języka i kultury stało się programowym hasłem. Nowy stosunek do przeszłości narodowej – tendencja wspólna całej oświeconej Europie końca XVIII i początków XIX w. – powiększa i u nas szeregi zwolenników kształcącego historyzmu i tradycji, którą dopiero teraz odkrywano naprawdę, a zatem i tworzone. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk już od chwili powstania (1800) wytyczyło jako główny cel działania «utrzymanie i pomnożenie nauk, pamiątek, języka». Na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa prezes Albertrandi mówił: «Przezorna troskliwość osób światłych – umięjących czas i okoliczności terażniejsze kojarzyć z przeszłymi, nie bez słusznej uwagi postrzegła, iż rodowity krain tych język mógł w ciemnej zapomnienia otchłani zaginać.»

Zgodnie z tą tendencją Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk nie tylko «zabiegało o jak najszybsze wydanie Słownika Lindego, który zabezpieczyć na wieki może egzystencję języka polskiego», ale podjęło też inicjatywę sporządzenia dykcjonarza synonimów polskich. Niemcewicz, miłośnik i obrońca mowy ojczystej, stał się jednym z głównych rzeczników «utrzymania języka w swojej czystości». Opracowanie synonimów powierzone zostało nie tylko uczonym mężom, ale i niewiastom sprawującym rządy w salonach. Tak oto wzór francuskich *jeux de société* spotkał się na gruncie polskim z mądrą kontrpropozycją Towarzystwa Przyjaciół Nauk, z postulatem, aby podporządkować cele ludyczne celom narodowym. Projekt dykcjonarza synonimów miał początkowo opracować Feliks Bemkowski, ostatecznie jednak przedstawił go Kazimierz Brodziński, który sporządził alfabetycznie ułożony tomik słów bliskoznacznych.

Pisanie synonimów stało się niebawem modne i popularne, weszło nawet w zakres obowiązków patriotycznych. Pojawiały się suche i zwięzłe rozprawki naukowe zajmujące się etymologią – rzeczywistą lub domniemaną – słów bliskoznacznych oraz omawiające ich kontekst frazeologiczny. Prace takie podejmowali: Kazimierz Brodziński i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, studia tego typu ukazywały się i w «Tygodniku Wileńskim», często bezimiennie.

W salonie Winemberskiej już w roku 1808 rozpoczęto pracę nad wyszukiwaniem i opisywaniem synonimów. Bliskoznaczniki zestawiała księżna Maria, Ludwik Kropiński, Jan Maksymilian Fredro i inni. Prezentowane czytelnikom *Synonima polskie* zawierają 12 utworów różnego autorstwa. Są one zebrane w jedną całość prawdopodobnie przez Wirtemberską, kompletującą materiały z literackiej działalności swego salonu.

Studia nad bliskoznacznikami, jakie prowadziło otoczenie księżny, odbiegają daleko od modelu opracowań zaprojektowanych przez Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Salonowy model rozrywek literacko-językowych i wzorzec opracowań synonimów ogłaszanych programowo w czasopiśmie – rozprawek poświęconych cieniowaniu znaczeń wybranych wyrazów – nałożyły się tu na siebie i skrzyżowały. Powstały stąd nie rozprawki popularnonaukowe, ale utwory literackie budowane na prawach rozwijania skojarzeń nasuwanych przez dane słowo. Trudno jest zaproponować stosowną nazwę dla tego rodzaju wypowiedzi literackich: próbki, fragmenty, ułamki, błahostki?

Synonimy mają budowę dwudzielną: zawierają wprowadzenie w temat – krótkie określenie stów podstawowych – i część bardziej rozbudowaną, fabularną, opisową, ukazującą wyrazy definiowane w kontekście frazeologicznym. Są to więc utwory powstałe w wyniku bardzo indywidualnej i swobodnej interpretacji stów podstawowych. Poza tymi słowami i ich wyjaśnieniem, bezpośrednim bądź też wynikającym z przedstawionego obrazu, dalsza realizacja zależy od inicjatywy i pomysłowości twórców. Im ciekawsza i oryginalniejsza konkretyzacja tematu podstawowego, tym zdatniejszy «synonim». Niektóre teksty, np. Wirtemberskiej – *Czas. Los. Przeznaczenie. Dola czy Ustroić. Ozdobić. Okrasić* lub *Gibkie. Giętkie. Sprężyste* – są zestawem swobodnie kojarzonych impresji i refleksji, a związki frazeologiczne, w których sytuuje autorka wybrane słowa, bywają waloryzowane uczuciowo. Inny rodzaj synonimów tej samej autorki przekształca się w fabularną opowiastkę zakończoną lirycznym ekskursem. Budowane na prawach synonimicznych utwory pióra Wirtemberskiej, Kropińskiego, Fredry czy Matuszewicza nie weszłyby na pewno do dykcjonarza językowego. Mieściłyby się natomiast dobrze w sentymentalnym almanachu czy zbiorze «rzeczy literackich». Zachłanna pasja do nieustannego kształcenia się i pogłębiania znajomości polszczyzny dominuje także i w tych próbach. Bardziej odpowiadają one potrzebom indywidualnym przyszłej autorki *Malwiny* niż naukowym studiom nad językiem, które biegły torem niezależnym. Aby tym dobitniej ukazać różnicę między synonimami opracowywanymi do słownika a synonimami literackimi, porównamy dwa różne sposoby potraktowania tego samego szeregu wyrazów bliskoznacznych – przez Brodzińskiego i przez Winemberską. Brodziński w swoim haśle zwięzłe

piisał: «Między *borem* a *lasem* ta tylko zachodzi różnica, że *las* jest znaczna przestrzeń zarosła drzewem jakiego bądź gatunku, *borem* zaś zowie się drzewo sosnowe. Mówimy o *leśnych* zwierzętach, owocach, ale nie o *borowych*; w dawnych pieśniach gminu spostrzegamy tę różnicę: *borami*, *lasami*, *lasami*, *borami*.»

A oto jakże różny i jak inaczej potraktowany fragment pisany przez Winemberską, która także poszukuje określeń rozróżniających znaczenie wyrazów – «puszcza», «bór», «las», «gaj»: «...mówi się: „Dobroczyenne *Lasy*, gęste *Bory*, okropne *Puszcze*, miłe *Gaje*.” Hoże dryjady po *Gajach* błąkać się powinny, tam się fujarkom, tam się słowikom przysłuchują. Rozbójniki i niedźwiedzie w *Puszczach* mieszkają. Po *Lasach* i *Borach* zaś trąbki myśliwe, trzaskania biczów podróżnych i czasem pienia pastuchów echa powtarzają.

I tak życzyłabym, aby *Puszcze* nieprzebrane dzieliły Polskę od jej nieprzyjaciół. Żeby w tejże Polsce szacowne z tyłu miar *Lasy* lepiej szanować umiano. Żeby w naszych sosnowych *Borach* nie tyle piasku bywało. A domek mój, żeby zawsze zielonymi *Gaikami* był otoczonym.»

Zrytmizowana proza Wirtemberskiej osadza pozornie bezosobiste rozważania w perspektywie lirycznej. Obserwujemy tu podobną jak w liryce dowolność wyboru skojarzeń, niewiele tylko ograniczoną ramami definiowanych słów, emocjonalność oceny przywoływanych określeń (driady obok całkiem realnych rozbójników i niedźwiedzi – że bór to las sosnowy, dowiadujemy się tylko mimochodem, z jednego epitetu umieszczonego przy rzeczowniku: «żeby w naszym sosnowych *Borach* nie tyle piasku bywało»).

Synonimika, celowo dobierana i zestawiana, może stać się wyznaniem wiary sentymentalnych, próbą ukazania złożonych reakcji i stanów emocjonalnych. Kropińskiemu przypadła prezentacja kluczowych pojęć okresu: Smutek. Żal. Rozpacz oraz Zadumanie. Zamyślenie. Jednakże zamiast możliwie obiektywnych i ogólnych analiz realnego pola znaczeniowego tych wyrazów, przeistoczył on swoje rozważania w subiektywny obraz przeżyć i refleksji. Prezentacja stanów uczuciowych, różnic i podobieństw pozornie zbliżonych doznań emocjonalnych, może być tematem samodzielnego wiersza lirycznego krążącego wokół pytań: «Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?» (Jan Maksymilian Fredro «wierszowany synonim» pt. *Lubić. Kochać*).

U podłoża tego rodzaju studiów, humoresek, opowiadań i wierszy leżą – jak już wspomniano – problemy ogólne, obchodzące całą elitę kulturalną. Jeśli jednym z czołowych, ba, nawet patriotycznych obowiązków dyskutowanych powszechnie jest dostarczenie lektur dla szeroko pojętego społeczeństwa, to tym samym głównym problemem staje się sprawa języka, nie zawsze odpowiednio giętkiego i elastycznego, by mógł służyć jako tworzywo dla poczytnych romansów i kształcących powieści. I jeszcze raz przyjrzeć się trzeba nazwiskom autorów tych synonimicznych opowiadań i wierszy: Maria Wirtemberska, Ludwik Kropiński, Jan Maksymilian Fredro... – to ci, którzy w romansie sentymentalnym, w liryce i dramacie analizować będą uczucia miłości i przyjaźni, których zainteresuje obraz wewnętrznych przeżyć i tragedii. Oni właśnie na synonimach ostrzą pióra, aby zaatakować później bastion zawarowany dotąd głównie dla francuszczyzny – romans i dramat sentymentalny. Miniaturowe wypracowania, usiłujące oddać i wyrazić różne odcienie ludzkich uczuć, próbujące precyzować «leksykę serca» – to gromadzenie spostrzeżeń, materiałów, obserwacji, które staną się niezbędne w dalszych procesach twórczych. Biorąc raz jeszcze zbiorek *Synonimów* czy *Moje dumania* do ręki nie można już oprzeć się sugestii, że wybór tematyczny jest tu wyraźnie przemyślany, że zmierza on do wypracowania finezji języka z emocjonalnej sfery przeżyć, języka Russowskich postulatów czułości.

Oczywiście, synonimiczne dystynkcje służyły nie tylko wzbogaceniu emocjonalnej leksyki czy wypracowaniu sentymentalnych związków frazeologicznych. Pisane na posiedzeniach salonowych smakowane były niby «wiersze desertowe», musiały więc zachować urodę wdzięcznych miniatur, a niekiedy służyć rozweseleniu wytwornego grona. I choć Towarzy-

stwo Przyjaciół Nauk nie projektowało edycji dykcjonarza homonimów, w salonie Wirtemberskiej bawiono się również i takimi składankami. Kropiński np. stworzył homonimiczną humoreskę opartą na prawach językowego paradoksu. Dowodził przekornie, że między wyrazami «kochać» i «kichać» istnieje podobieństwo nie tylko brzmieniowe, ale i znaczeniowe.

Niezależnie od Synonimów powstawały w salonie Wirtemberskiej liczne wiersze okolicznościowe, improwizacje poetyckie, «portrety» (tj. literackie charakterystyki na wzór La Rochefoucaulda czy La Bruyère'a), masowo wreszcie uprawiano gry towarzyskie takie, jak np.: sekretarz, zagadki, logogryfy, opowiadania «na oznaczone słowa», wiersze na podany z góry rym. *Synonimy* były jednak najbardziej popularne. Kropiński tłumacząc się przed orędownikiem dykcjonarza, Adamem Kazimierzem Czartoryskim, z niektórych dokonań bardziej gwoli rozrywki niż nauki spełnionych, polecał jednak jego pieczy całość szeroko zakrojonej roboty: «Zajęty wyżej pomienionymi pracami nad synonimami nie pracowałem, a wstydę się, że Księżę *Kichanie* czytał [por. s. 2251. Niech jednak Księżę naciska, aby synonimy pisano. U nas, gdzie wszystko szparko zaczynają, a nie kończą, potrzeba, abyś WKsMość swym głosem od wszystkich szanowanym wszystkich napędzał, zaczawszy od Księżny Wirtemberskiej...»

Jednym z przejawów zwiększającego się zainteresowania synonimami były nie tylko rozprawki na temat bliskoznaczników tworzone przez takich autorów jak J. U. Niemcewicz, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa czy K. Brodziński, ale i wesołe zabawy w synonimy i homonimy. Wirtemberska informując matkę, że we wszystkie czwartki odbywać się będą kolacje u księcia Sanguszki, wspomina mimochodem i o nowych dystrakcjach salonowego homo ludens: «Pierwsza kolacja udała się dobrze. Księżna Sanguszkowa robiła, co mogła, aby towarzystwo dobrze się bawiło. Tańczono, śpiewano, grano w pytania, synonimy, karty, w to, w co kto chciał.»

Moda na synonimy trwała długo i choć nie doprowadziła w czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego do wydania projektowanego dykcjonarza, przyczyniła się jednak do wzbogacenia i pogłębienia precyzji języka. Jeszcze w latach 1817 i 1818 ukazywały się w «Pamiętniku Warszawskim» urzędowe apele i prośby do ziomeków o «dokładne wytłumaczenie wyrazów» podawanych przez redakcję do publicznego rozważenia. Proszono jednocześnie o trzymanie imaginacji na wodzy, o naukową spójność definicji «Uznana jest powszechnie prawdą, iż język zyskuje bardzo wiele na dokładnym odcieniowaniu znaczenia rozmaitych wyrazów, a nade wszystko wyrazów bliskoznaczných, synonimami nazwanych...»

Na marginesie językowych zainteresowań epoki powstała i okrzepła drobna, ale niezaprzeczalna zdobycz literacka – gatunek ciekawy i niebanalny, który teoria literatury może zarejestrować jako nie rozpoznaną dotąd «małą formę».

Zabawę w literaturę uprawiano w salonie Winemberskiej przede wszystkim w latach 1808–1811. Po roku 1812 nastąpiła wyraźna ewolucja zainteresowań literackich uwieńczona ostatecznie wydaniem *Malwiny*. Posiedzenia sobotnie przekształciły się teraz w spotkania dyskusyjne. Od roku 1813 głównym tematem konwersacji stała się *Malwina*. Wirtemberska zakończyła pracę nad powieścią już w roku 1812, ale ostre uwagi zbyt wymagającego «cenzora», Ludwika Kropińskiego, nie potwierdzone zresztą oficjalnym wystąpieniem poety, opóźniły nieco pracę nad przygotowaniem tekstu do publikacji. Ostatecznie jednak po dokładnej redakcji sprawnego «korektora» autorka zdecydowała się poddać powieść pod dyskusję «błękitnego grona».

Tadeusz Matuszewicz, utalentowany recytator, w przeciągu długich posiedzeń zapoznawał kółko księżny z jej dziełem. Wśród pierwszych słuchaczy powieści o domyślności serca znaleźli się Jan Maksymilian Fredro, Tadeusz i Adam Matuszewiczowie i siostra księżny, Zofia Zamoyska z mężem. Zebrani ocenili powieść entuzjastycznie, a reakcja ta pozwoliła Winemberskiej przypuszczać, że także krytyka literacka będzie łaskawa dla pierwszego w języku polskim romansu, co znalazło niebawem potwierdzenie w recenzjach pochwalnie oceniających *Malwinę*.

Dyskutowana w salonie czuła powieść o Ludmirze i Malwinie, oceniona niebawem jako pierwszy wartościowy polski romans i doskonale studium psychologiczne, miała jeszcze jeden walor, mocno wówczas eksponowany. Stanowiła mianowicie konkretną odpowiedź na apel Towarzystwa Przyjaciół Nauk, aby w pracy nad upowszechnieniem i wzbogaceniem języka polskiego wzięły udział wszystkie wykształcone i utalentowane kobiety: «Było zasadą z wieku Stanisława Augusta pozostała, że nasz język nie jest językiem miłości, że go dopiero do tego potrzeba wyrobić. „Nie znano (mówiono powszechnie) tej delikatności dla dam, jaką wyrobili u siebie Francuzi.”»

Do wygładzenia mowy ojczystej – pisał w r. 1801 Adam Kazimierz Czartoryski – nie dojdzie się bez pomocy płci żeńskiej. Nie może ona nie być ciekawa dziejów kraju, z którego pochodzi, czy «narodowych kształtów i obyczajów.»

Dzieło Wirtemberskiej miało być manifestacją polskości, a sama autorka objaśniała nieco kokieteryjnie w przedmowie do powieści: «Nie ma ona innej zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem [...]; będąc pierwszym, wzbudzić może ciekawość; przebiegającym te kart kilka przypomni, że nie ma tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym; wtedy to, co moja chęć dobra nastęrczyć chciała, wyższa czyja umiejętność dokona.»

Pisanie w języku ojczystym było nakazem patriotycznym i narodowym, tak jak ochrona pamiątek przeszłości czy prace nad ugruntowaniem wiedzy o dziejach Polski. Argumentacja za wzbogaceniem rodzimego języka stała się istotnym składnikiem działalności salonu Wirtemberskiej. Dyskusje literackie, zabawa w synonimy, wreszcie ukoronowanie posiedzeń salonowych polską powieścią przeznaczoną dla kobiet, zyskują inną nieco rangę, jeśli przyłożyć do nich miarę programów narodowych i kulturalnych tego okresu. «Rodowity język staje się obcy – pisał Czartoryski – cudzy uważa się za własny, gdy w składzie damskich ksiązek na żadną rodowitym językiem natrafiać się nie zdarza, gdy w domach (oprócz przedpokojów i garderoby) ledwo pięć słów polskich na dzień usłyszeć można».

Nie dość podkreślać zaniedbania narodowego języka w «domach» polskich, ograniczonych w rozprawce Czartoryskiego do magnackich pałaców. Mowę ojczystą zepchniętą do «przedpokojów», zastąpioną w salonach francuszczyzną, nie zawsze zresztą najlepszą, miała arystokracja w wyraźnej pogardzie i zaniedbaniu. Było to zjawisko tym groźniejsze, że nie tylko szlachta, ale i mieszczaństwo zaczęło naśladować te zwyczaje. A właśnie oświecone mieszczaństwo czy żyjąca z prac umysłowych szlachta, ta cieniutka warstewka tworzącej się ówczesnie inteligencji, miała być sprawdzianem i prawodawcą poprawności i czystości polszczyzny: «...co wdzięk i wytworność każdego języka czyni [...] gmin pospolity nie posiada – pisał Ignacy Krasicki – ale ta część ludu, która przez stan, dobre mienie nad innych się wznosi, i ta, która osobliwie w stołecznych miastach mieszkając jedynie się towarzystwu, kunsztom lub nauce poświęca».

Sprawa języka i ekspresji językowej leżała w centrum zainteresowań kręgu towarzyskiego i literackiego otaczającego Marię Wirtemberską. O wyczuleniu jej samej na te problemy świadczyć może choćby taka relacja z amatorskiego przedstawienia: «Powiem bez przechwałki, że siostra moja i ja grałyśmy bardzo dobrze. [...] Kostiumy były śliczne, a spektatorki i spektatorowie zrozumieli rzecz i przyklaskiwali w najlepszych ustępach odczuwając piękność języka, co mnie prawdziwie zadziwiło. Osiński [...] najbardziej się dziwił mojej łatwej i tak czystej wymowie polskiej. Pochwała ta niewymowną sprawiła mi przyjemność. Gdyby to słyszał biedny Kropiński, już by nie powiedział, że ja tylko po francusku oddycham.» Jej listowne sprawozdania z oglądanych w teatrze przedstawień też świadczą o rozwiniętym krytycyzmie i zmyśle językowym: «Tłumaczenie nędzne – pisze po obejrzeniu *Merope* – pomiędzy innymi w wierszu, w którym powiedziano: „rzeź tylu królów”, to przetłumaczyli: „jatki królewskie”. Pełno zresztą rymów – wcale tu niewłaściwych [...] ośmiesza tragedię... »

Apel o szerokie popularyzowanie czytelnictwa w języku narodowym wśród kobiet miał więc szczególne znaczenie – kosmopolitycznym wzorom życia arystokracji przeciwstawił wzór patriotyczny. Ludwik Kropiński w przedmowie do edycji *Julii i Adolfa* tłumaczył, że jedną z poważniejszych przesłanek skłaniających go do wydania tego romansu była chęć przełamania uprzedzeń płci pięknej, «...iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwych uczuć delikatnej miłości, do których język francuski, zwłaszcza w *Nowej Heloizie*, zdaje się być stworzonym».

Stołeczne towarzystwo uznało więc *Malwinę* za największą sensację roku także ze względu na jej polską szatę. Księżna manifestacyjnie wręczała nowy utwór warszawskim arystokratkom, nie znającym często literatury i historii własnego narodu, celowo wprawiała je w zakłopotanie powodujące, jak informowała ojca, że «niejedna już myśli pisać po polsku», a przynajmniej uczy się, «zawstydzona *Malwiną*», ojczystego języka.

Jeśli porówna się obciążoną retorycznym nalotem prozę powieści dydaktycznej polskiego Oświecenia, suchą, odległą od potocznego, konwersacyjnego języka, kształconą na publicystycznych wzorach «Monitora», z prozą *Malwiny*, widać olbrzymią różnicę. W ówczesnych znów polskich tłumaczeniach romansów francuskich aż roiło się od niezamierzonych efektów parodystycznych wynikających z użycia niewłaściwych słów. Można więc uznać utwór Wirtemberskiej za udaną próbę wcielenia w życie postulatu Rousseau, aby uczynić język artystyczny przekąźnikiem treści emocjonalnych. Bez owych dociekań i wprawek wspomaganych zabawą i rozrywką, bez owego zmiękczenia i cieniowania stylu, wyszukiwania synonimów, bez prób na pół językowych, na pół literackich – nie mógł powstać najlepszy polski romans sentymentalny. Byłaby to zapewne tylko sucha, czasami groteskowa relacja z «wewnętrznych przygód» tkliwych bohaterów.

Elitarne zabawy w salonie Wirtemberskiej okazały się więc w istocie wielce pożyteczne i kształcące. Wspólnie z epistolografią «czułych», imponującą rozmiarami i artystycznym zakrojem, służyły przecieraniu szlaków wiodących do rozwoju nowych gatunków polskiej literatury, do kruszenia szaniec francuszczyzny. Obce bastiony zakrzepłych galicyzmów atakowano także argumentami zaczerpniętymi z tradycji kulturalnej francuskiego salonu. W tym więc sensie stwierdziliśmy poprzednio, że związki łączące salon Wirtemberskiej z Hotelem de Rambouillet, kręgiem pani de la Fayette czy pani de Sévigné, były wyborem tradycji: uczestnicy przejmowali pewne tylko elementy ich zgromadzeń, zwłaszcza kult języka i stylu, bo tego akurat wymagały ówczesne polskie warunki.

Sukcesem *Malwiny*, która dostarczać zaczęła warszawskiemu i puławskiemu towarzystwu wielu literackich i rozrywkowych inspiracji, salon księżny zamknął niebawem swoją działalność. W roku 1816 jego uczestnicy zaczynają się powoli rozpraszać. Jan Maksymilian Fredro wyjechał do Petersburga, brat Marii – Konstanty, także opuszczał stolicę, za nim podążyli Artur i Franciszek Potoccy, Adam Matuszewicz i inni. W lipcu 1816 Wirtemberska wyruszyła w wielką, kilka lat trwającą podróż do Włoch i Szwajcarii, aby poszukiwać «natury» i «wzorów dla serca».

Alina Aleksandrowicz

LUDWIK KROPIŃSKI
Wiersze
ofiarowane
Marii Wirtemberskiej

«Za sercem szedłem, serca stałem się ofiarą.»

Ody

Oda I Do Dionizego Książnina*

Jakiż to wichur z południowej strony,
Gdzie tyle wieków w milczeniu ubiegło,
Grozi klęskami i wywraca trony?
Ileż miast świetnych i mężów poległo
I ileż jeszcze tysięcy upadnie –
Nim lud w przebiegu z więzów do swobody
Prawom wolności poddając się snadnie
Powróci w łono spokojnej zagrody?
Tak Wisła twardym ucieśniona lodem,
Choć grzbiet cierpliwy ciężarom podaje,
Spokojna niby, ale czynna spodem,
Kiedy naturze wiosna życie daje,
Pęka naówczas – lecą jej ułomy,
Ruch ich gwałtowny własne brzegi porze,
Niszczy zastępne i drzewa, i domy,
Pędząc je z szumem na bezdenne morze.
Lecz minie burza i słońce wzniesione
Uciszy wody rozchukane nagle,
Wróci spokojność na brzegi zielone,
Z mnogimi plony wzdęte pójdą żagle!
Luby Książninie! Kto obraca ziemię,
Kto myślą stwarza i niszczy narody,
Ten może z więźniów wolne zrobić plemię,
Gdy nasza Wisła twarde zruści lody.

Oda II

Do J.O. Księcia Generała Czartoryskiego

Nim polor błysnie na stali,
Wprzód w nią ciężkie biją młoty.
Wprzód się w wielkim ogniu pali,
Nim wyda kruszec blask złoty.

Nieszczęścia są ku ozdobie,
W nich świetnieje umysł prawy,
Im kto w dłuższej jęczał probie,
Więcej ma prawa do sławy.

Książę! chcąc wielbić człowieka
Dosyć na twoim wspomnieniu.
Jaka cię potomność czeka,
Czytaj ją w swoim sumnieniu.

Oda III Do Boga

Ta rządzona kolej najwyższej mocy,
Co słońce toczy ku dnia ozdobie,
Gwiazdom kazała pilnować nocy,
Niech myśli moje zwraca ku Sobie.

Ukryłeś, Panie, Twych dzieł przyczyny,
Dając nam wiarę, za którą stoję,
Bym nad wielkimi dumiejąc czyny,
Twoją czuł siłę, a słabość moję.

Tyś podał prawa, poznał drogi
Szczęścia i trudów – jak chlubna dola:
Kto z cnotą poszedł przez ostre głogi,
Gdzie Twego wiedzie zakonu wola.

Podaj start duszy i moc rozumu,
Niech jednym widzę, a czuję drugą:
Tak wpośród błędów zostanę tłumem
I panem siebie, i Twoim sługą.

Wówczas, by światów wsze twierdze pękły,
I z Twojej woli na mnie spadały,
W czystym sumnieniu rzeknę niezłękły:
Żyłem – jak Twoje prawa kazały!

Oda IV Do Dionizego Książnina

Miły w mym życiu Książninie!
Chociaż mnie często złe trąca,
Nie zawsze jednak łza płynie
Zdarzy się postać śmiejąca.

Ilekoć ja dumam z sobą,
Jakby do szczęścia zapłynąć,
Widzę to szczęście być tobą:
Mało żądać, dobrze słynąć.

Niech pycha stawia pałace
I w złote stroi się szaty,
Milsze nad nie własne prace
W spokojności mojej chaty.

Tu ręka wdzięcznej natury
Doliny w kwiaty ubrała,
Osadziła drzewem góry
I zdroj pragnieniu wylała.

Tu pod zielonych drzew cieniem,
Co je lekki wiatr ożywia,
Przebiegłych czasów wspomnieniem
Dusza się moja rozkliwia.

Tu jak szybko nasz wiek płynie,
Bieg wskaże tego strumyka.
W każdej się widzę roślinie,
Co wschodzi i wkrótce znika.

Kto zgiełku świata nie słyszy,
Kto napój pije ze zdroju,
Kto ma spoczynek wśród ciszy,
Szczęśliwszy, chociaż wśród znoju.

Lecz choć samotne dni płyną,
Jednak, przyjacielu tkliwy,
Trzeba Ojczyzny z Lucyną,
Bym zupełnie był szczęśliwy.

Oda VI Do przyjaciół

Któż mię teraz pocieszy? Kto żale ukoi?
Rozproszeni nieszczęściem przyjaciele moi
Przed mściwym najeźdźnikiem nędzne życia kryją
I w ciszach oddalonych napój smutków piją.
O szczęśliwy, kto płytkim uderzeń żelazem
Oblał krwią ziemię Ojców i z nią zginał razem,
Skończył godziny płaczu w szlachetnej obronie
I wolen od wszech cierpień śpi w wieczności łonie.
Bogaczu, z ludzkich znojów, coś w żelaznej skrzyni
Krył złoto – czyż cię złoto szczęśliwym dziś czyni?...
Stawiałeś pyszne gmachy, pasłeś zbytkiem siebie,
A ojczyźnieś żałował pomocy w potrzebie!
Na cóż liczny gwiazd szereg bez zasługi wzięty,
Co błyszczy na twych piersiach szeroko rozpięty –
Jak jasny promień słońca na śniegi rzucony,
Co tysiąc zimnych światel w różne ciska strony,
Ani wyrzut dostatków, ani świetne szaty
Nie wrócą spokojności, nie nadgroczą straty.
Lecz Muzo! Cnotę śpiewaj, ci twych pieniów godni,
Co żyjąc dla Ojczyzny nie żyli dla zbrodni.
Niechaj drżą brudne serca na wspomnienie zgonu,
Człek prawy śmiało idzie do wieczności tronu,
A pewny w przekonaniu prostych życia kroków
Z odwagą przystępuje do księgi wyroków,
Gdzie Istność, rozwijając przeszłych czasów kłębki
Waży sprawiedliwością cnotę i występki.
Nieszczęsny, komu szalę na dół zniżą kary,
Runie gniewem zepchnięty między nocne mary!
Lecz Muzo! Jakże dziko nosisz myśli moje,
Po cóż czarną przyszłością tkliwe czucia znoję?
Któż mi to każe latać po piekle, po niebie,
Kiedy mam was, przyjaciół, mam, Lucyno, ciebie.

Oda VIII Do lekarza

Próżne są i starania, próżne rady twoje,
Próżno troskliwa ręka wonne zioła suszy
I te ckiwe ku ustom podaje napoje,
Boś ty lekarzem ciała, a nie tkliwej duszy.
Ani drzewo zakwitnie, choć słońce blask sieje,
Ni płód wydaje ziemia mrozami ścieśniona.
Chceszli, abym był zdrowy? Wróc szczęścia nadzieje,
Złącz cnotliwych przyjaciół do jednego grona.

Oda IX Do Czasu

O wy! co losy światów w wiecznej macie nocy –
Przeszłości bez początku, przyszłości bez końca,
Zrućcie grube zasłony tej potężnej mocy,
Co w równodzielnej zmianie światami potrąca.

Przechodzień tej doliny chwilami krótkimi,
Niech zna, cierpiący człowiek, los życia i zgonu –
Czyli po tylu troskach ma być prochem ziemi?
Czy po nowy byt przyjdzie do wieczności tronu?

Lecz próżno pojąć żądam – skąd jestem, gdzie pójdę?
Stwórcu, z pokorą padam na samo wspomnienie!
Im wyżej myślą sięgam, tym mniej Ciebie dojdę –
Już czuję skutek błędów: bojaźń i westchnienie.

Twoją mocą nasuwa[sz] chmur gromliwych brzemie,
Wicher szumi miotając stoletnimi dęby.
Ty – możesz światła zgasić i w nic zetrzeć ziemię,
A ja – śmiałem za ludzkie przestąpić obręby.

Oda X Do Lucyny

Jakże podobny Lucynie,
Ten mały strumyk, co płynie:
Jej to obraz oczywisty,
Bo i spokojny, i czysty.

Ale te brzegi zielone
Biegiem jego rozdzielone,
Zawsze blisko, nigdy razem,
Moich nieszczęść są obrazem.

Ciepłą wiosną ziemia żyje,
Kwiat i trawa rosę pije,
Nadzieja wszystkim się śmieje,
Jam tylko stracił nadzieję.

Już niepodobny Lucynie
Ten mały strumyk, co płynie,
Bo on, okrutny, swym biegiem
Dzieli na zawsze brzeg z brzegiem.

Oda XI Do Lucyny

Już to północy godzina bije,
Wszehstworzeń czucia w spoczynku gina,
Ja tylko jeszcze w mych czuciach żyję
Myśląc o tobie, piękna Lucyno!

Pochylam głowę! i zmrzam oczy!...
Może choć chwilę sen uśpi duszę?
Nie! znów twój obraz w myśli się toczy
I nie chcąc – myśleć o tobie muszę.

Wstaję! i lulkę zapalam sobie!
Iskrzysta światłość z niej się wymyka,
A z nią dym czarny w zmiennym sposobie
Rozsypując się w błękity znika.

Zgasła! o iskry!... o dymku drobny!...
Lulka myśl moją rozbiła właśnie,
Bo jakże do niej człowiek podobny,
Pali się, dymi... na końcu zgaśnie!

Oda XII Do Lucyny

Szczęśliwy! w czyim sercu mieszka pokój cichy,
Komu życie tak miłe, że się śmierci lęka,
Kto troską snu nie przerwie, kto w przybytku pychy
Potrzebą uciśniony po dary nie klęka.

Nie cieszy duszę, którą nadzieja omija,
Ani róża wiosenna, co pod świt Jutrzenki
Z skupionego się pączka w krasny liść rozwija,
Ni szum czystego źródła, ni natury wdzięki.

Lucyno moja, tobą i dla ciebie żyję,
I czy to wielkie światło nad nami się toczy,
Czy stąpa księżyc blade, gdy noc ziemię kryje,
Ku tobie tylko zwracam i myśli, i oczy.

Pamiętam, twój wzrok pierwszy tak miło i snadnie
Przez oczy wszedł do serca, a z serca do duszy,
Jako gdy lekki Zefir między listki wpadnie
I spokojnego drzewa gałązki poruszy.

Póki rosa padała i wiatr igrał z kwiatem,
Póty i kwiat wśród łąki świetną głowę wznosił,
A pyszniąc się z urody, odziany szkarłatem,
Lubił dzień, bo go wieczór i poranek rosił.

Lecz gdy palić zaczęły spieki południowe,
A zachód i Jutrzenka ochłody nie dały,
Zmienił się szkarłat, kwiat pochylił głowę
I na koniec na ziemię liść upadł zwiędniały.

Ubiegły dni pokoju jak strumień wezbrany,
Co wpadł w rzekę, a z rzeką w morskie poszedł tonie.
Już, luby przyjacielu, mój umysł stroskany
Nie znajdzie więcej ulgi, nawet na twym łonie.

Oda XIII Do Lucyny

Chociaż to mówią, że nie masz na ziemi
Prawego szczęścia między żyjącymi,
Nie wierz, Lucyno! Kiedy twój wzrok tkliwy
Zwróci się ku mnie, zostaję szczęśliwy.

Nikt spokojności nie kupił za złoto,
Ta w życiu naszym zawsze chodzi z cnotą.
W życiu, co jako drżący listek drzewa:
Kwitnie, dojrzeje i wiatry go zwiewa.

Ale Lucyno! jeżeli ozdoba
Bogaczów świata lepiej się podoba,
Jeśli spokojność w ubóstwie a cnotę
Małym jest szczęściem, zwróć oczy ku złocie.

Zwróć je! Ja wielbić nie przestanę ciebie,
To tylko powiem o tobie do siebie:
– Wierzy Lucyna, że nie masz na ziemi
Prawego szczęścia, tylko z bogatymi.

Oda XIV Do obojętnej Lucyny

Choć ciebie kocham, Lucyno,
Nad wszystko, wszystkich i siebie,
Choć mi pociechą jedyną
Być nieszczęśliwym dla ciebie,
Przecież w twym sercu, Lucyno,
Słowa moje z wiatrem giną.
Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim pomyślę, czym widziany,
Już się w stronę wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany.
A mnie wówczas z głębi duszy
Wszystkie czucia żal poruszy.
Kiedy czasem słodkie słowo
Za samo szczęście już chwytam,
Postraszysz miną surową
I więcej prawdy nie pytam:
Bo cię kocham, bo się boję,
Czym nie dotknął skromność twoję.
Twoją istotą zajęty,
Ciebie widzę, ciebie czuję,
I wszystkie świata ponęty
Prócz ciebie czczymi znajduję.
Przecież w twym sercu, Lucyno,
Słowa moje z wiatrem giną.
Częstym dla cię zapomnieniem
Po tej ziemi byt mój błądzi,
Bo za twoim goni cieniem
Serce, które duszą rządzi.
A ty jeszcze same smutki
Za obłudy bierzesz skutki.
Oto wstaje dzień i znika.
Igrają światem koleje –
Raz ciemny obłok przemyka,
Drugi raz światłość jaśnieje.
Ciebie przecież nie odmienia
Ciężar mojego cierpienia.
Gdybyś wzięła z Czasu ręki
I samą wieczność dla siebie,
Niepomny na trud i jęki,
Choć nie kochany od ciebie,
Przez potęgę mej miłości
Żądałbym równie wieczności.
Ale niknie krasa róży,
Wszystko prócz Boga w zakresie,
To życie błędnej podróży
Pęd czasu jeszcze odniesie.

Ja jeszcze ostatnie tchnienie
Na twoje wydam wielbienie.
Ty zaś przynajmniej w nagrodę,
Na me cierpienia pamiętną,
Ukaż następcom pogodę
I przestań być obojętną.
Czując słodycz w spólnym tchnieniu
Może dasz łzę temu pieniu.

Oda XV

Na przegraną w warcaby

Zapomniawszy, że Los kręty
W ręce Haliny oddano,
Mylną pewnością zajęty
Spór z nią wiodłem o wygraną.

Ja, co ciągłym doświadczeniem
Potężnych nawet zwalczałem,
Za jednym onej spojrzeniem
Myśl straciłem i przegrałem.

Gdy więc, Halino, w twej woli
Igrać Fortuną życzliwą,
Daj nieszczęście naszej doli,
Ale siebie zrób szczęśliwą.

Pieśnie

II Skowronek do...

Swej kochance wierny, stały,
Śpiewał skowronek dzień cały.
Z miejsca na miejsce przesiadał,
W górę wzlatał, na dół spadał,
Trzy nocy i trzy poranki
Szukając swojej kochanki.
Ale na próżno: bo ona
Wdziękiem innego schwycona,
Jak wiatr lekka i niestała
W obce strony uleciała.
Malwino! czy byłby winny,
Gdyby poleciał do innej?

IV

Jeśli ci się ujrzyć zdarzy
Wiosnę w wdziękach, wiosnę w tchnieniu,
Rozkosz w ustach, dobroć w twarzy,
Światło księżycy w spojrzeniu –
Jeśli Alkara¹ wspomina,
Moja to, moja Emina!

Jeśli ma zawsze łzę w oku
Dla wzywających litości
I wszystko, nawet rzut wzroku,
Pod straż oddaje skromności –
Jeśli Alkara wspomina,
Moja to, moja Emina!

Jeżeli, na wzór strumyka,
Płynie czysto i bez szumu,
I z wstydlivością unika
Ścigającego ją tłumy –
Jeśli Alkara wspomina,
Moja to, moja Emina!

Lecz jeżeli o miłości
Mówić się tobie z nią zdarzy,
A z westchnieniem łza litości
Nie zrosi jej świeżej twarzy –
I Alkara nie wspomina,
Nie moja to już Emina!

O strumyku do Haliny

I cóż ci ten strumyk szkodzi,
Co w czystym i chyżym biegu
Twe kwiaty i ciebie chłodzi
I ozdobą twego brzegu?

Co na kamyczek z kamyka
Sunąc lekko i przyjemnie
Szepce nam wszystkim do ucha:
«Haliny obraz jest we mnie!»

Co, jak twa dusza przejrzysty,
Przez krętych zwrotów tysiące,
Zawsze wesoły, bo czysty,
Igra z kwiatami po łące.

Co, kiedy gałązka czasem
Chce jego zamącić wody,
W bok ją odtrąca z hałasem
I znowu bieży jak wprzody?

A ty, niewdzięczna Halino!
Chcesz jego nieszczęściem słynąć
I masz za rozkosz jedyną,
Gdzie nie chce, kazać mu płynąć.

Patrz! twoją ręką zwrócony,
Z jakim jękiem, nieboraczek!
Żegna swój brzeg ulubiony
I ulubiony mu krzaczek.

Gdzie każesz, pójdzie on wszędzie,
Lecz obrażony rozkazem
Już on nam szeptać nie będzie:
«Haliny jestem obrazem!»

Czemuż twa moc nie powściąga
Tej Wisły szalone biegi?
Co się z twej władzy urąga
I twoje porywa brzegi.

Co wstecz szerząc płowe wody
Niesie strach i spustoszenie,
W twoje błonie i zagrody,
I w twój gaj, Wdzieków schronienie.

Mówisz, że pragniesz jej zguby,
A Wisła u nóg twych płynie.
Mówisz, że ci strumyk luby,
A luby z twej ręki ginie.

Lecz się już nieba zemściły
Przed okrutną, co uciska,
I drżące strumyki skryły
W nasze, Halino, siedliska.

Z tych jeden na mojej łące
Czystymi napawa wody
I brzozy nad nim płaczące
I moje kmiotki, i trzody.

Często ja na jego brzegu
– Jak poeta – rymy snuję
– Jak filozof – w jego biegu
Bieg życia i Szczęścia czuję.

On mnie bawi, smuci, uczy,
On – jak ja – spokojny płynie,
A co szepce, na co mruczy
Powiem to kiedyś Halinie.

Do Jana

Zbliźmy się, Janie, do tego tłumu,
Co się wokoło Idy zgromadza.
Wdzięków, dobroci, cnót i rozumu
Zobaczmy – jaka jest władza.

Patrzaj! już Alkar zabity leży
Od jednej tylko z jej oczu strzały.
Pogromem kobiet, kwiatem młodzieży,
Liczne zwycięstwa go zwały.

Już i Emroda – widzę – prowadzą,
Wśród ran głębokich woła litości.
On, co to niegdyś rozumu władzą
Poskramiał wszystkie skłonności.

Widzisz zuchwałą Damona postać?
On, szydząc z innych, sam z siebie szydzi:
Dumny! nie mogąc szczęśliwym zostać,
Że cierpi, wyznać się wstydzi.

Gdy ją okrutną zowie świat cały,
Że – jak on – nie jest zmienna i płocha,
Cnotliwy Mirtyl, w miłości stały,
W jej okrucieństwie się kocha.

Janie! co robisz? po cóż tak z bliska?!
Wielu ufało, zginęło wielu.
Uciekaj! – widzę – wzrok na cię ciska,
Już po tobie, przyjacielu!

Przy tkliwej duszy tyle cnót razem,
Przy tylu wdziękach powab skromności,
Pięknym są twoim, Ido, obrazem –
Ale nieszczęściem ludzkości.

Motyl do Malwiny

Dumny z różnofarbnej szaty
Obiegał motylek kwiaty:
Bławatki, fiołki, róże –
Nic go zatrzymać nie może.
Ku jednym swym lotem mierzy,
W drugie skrzydełkiem uderzy,
Z każdym popieści się chwilę;
Jak zwykle robią motyle.
Na koniec czy dla odmiany,
Czy chciał spocząć zmordowany –
W ustroni, gdzie strumyk płynie,
Na bujnej siada leszczynie.
Biedny! nie znał, co go czeka.
Widzi Malwina z daleka:
– Z chwili korzystać należy! —
To rzekłszy ku niemu bieży.
A że jej zawsze wszystko idzie snadnie,
Pod krzak leszczyny z cicha się zakradnie;
On siedzi. Ona z lekka gałązeczka nagnie,
On siedzi. Wtem ją spostrzegł, już, już wzlecić pragnie.
Nie czas! Bohatyr, co lekkością słynął,
Strzepnął tylko skrzydełkiem i w jej ręku zginął.
Malwino! żeś mnie złapała,
Niewielka dla ciebie chwała:
Cóż się oprze twojej sile!
Ty łapiesz nawet motyle.

Listy

Listy pisane do Matusewicza z Łańcuta do Sieniawy

List I

O człowieku, pełen zdrady!
Powiedziałeś, że Halina*
Nie ma w sobie żadnej wady,
Że jest to dobroć jedyna.
Powiedziałeś, że to rosa,
Którą wszystkie kwiaty lubią,
Ze same nawet niebiosa
Dziełem swoim w niej się chlubią.
Tyś ją sądził po jej licu,
Na czym się często mylamy,
Piękny księżyc, lecz w księżycu
Przecież widać jakieś plamy.
Cóż pięknego – ciemne oko
W bielszej nad śniegi oprawie,
Co wysoko i głęboko
W każdej niemal widzi sprawie.
Co jak owe wielkie słońce,
Za jednym tylko wejrzeniem
Widzi oba świata końce
I jasnym razi promieniem.
Co po owej skromnej minie,
Co się wstydzi samej siebie?
Co zawsze spokojnie płynie,
Podobna, zdroju, do ciebie!
Ale to są błędy małe!
Pójdziemy teraz do duszy –
Cóż znaczy to serce stałe,
Co się na nowość nie wzruszy?
Czyż to cecha dusz niewinnych
I czyż niewarta pogardy:
Mieć tkliwość w nieszczęściach innych,
A na własne umysł twardy?
Jeszcze pamięć żyje w duszy
I to miejsce Łańcut chowa,
Gdziem słyszał na moje uszy
Z przekazem od niej te słowa:
«Czy się gniewajcie, czy śmiejecie,
Ja się wam przyznaję szczerze,
I za złe mi to nie miejcie,
Że żadnemu z was nie wierzę.
Taka teraz świata postać,
Lubią w pole wyprowadzać,
Potrzeba filutem zostać,
Ażeby się nie dać zdradzać.
Ot, i wy, nawet, motyle,
– I palcem na mnie wskazała –

Wszędzie zabawicie chwilę,
Wszędzie w uśmiech miłość stała.»

Tak rzekła. Com się naprosił,
By lepiej o mnie trzymała,
Oczym zwracał, ręką wznosił,
Lecz ona w uporze trwała:
«Jeszcze raz powtarzam szczerze:
Czy się gniewajcie, czy śmiejecie,
Żadnemu ja z was nie wierzę
I za złe mi to nie miejcie!»

Też to dobroci są dzieje!
Pogardzać ludzkim rodzajem,
A gdy świat dla niej szaleje,
Nie szaleć dla niego wzajem.
Wielkie szczęście, żeś to nie ty,
Chwaląc rys Figiera ręki
Lubość kwiatów, łąk zalety
Porównał z Haliny wdzięki.
Niechże mi się starzec kryje,
Co zimę na głowie nosi,
Bo go umęcę, zabiję
I nikt mi go nie wyprosi.
Bo jeżeli sławę ceni,
Którą ludziom prawda niesie,
Podchlebne rymy przemieni
W tym podobieństwa zakresie:
«Dzieło Figiera, dzieło pięknej ręki,
Wcale to nie ty, nie tve, Księżno, wdzięki
Chcąc, by twój obraz był odbity wiernie,
Oto masz różę, jej piękność i ciernie.»

Odpowiedź Matusewicza z Sieniawy

Nie miałem bynajmniej celu
Zwodzić ciebie, przyjacielu,
Stawiać za przykład jedyny
Anielską dobroć Haliny.
Przyznaj mi się poufale,
Może te skargi, te żale,
Ta chęć, co ciebie kłopoci,
Żąda więcej jak dobroci.
Gdym wszedł w szczęśliwe siedliska,
W których patrzę na nią z bliska,
Wiedząc, gdym był jeszcze cieniem,
Jak serce razi wejrzeniem,
Dałem sobie obietnicę
Trzymać się samej granice:
Wąska bowiem dzieli ścieżka –
Tu przyjaźń, tam miłość mieszka.
Nieraz zachwieję się w kroku,
Pijany wdziękiem jej wzroku,
Nieraz lecę wpólschylony,
Gdy słyszę głos jej pieszczony,
Ale się wstrzymam i w porę
Skrę gaszę, nim płomień gore.
Spóźnił się Telemak śmiały,
Zepchnął go Mentor ze skały.
Życzeń, sędzicu kochany,
Trzymaj się granicznej ściany.
Uznasz i darujesz społem,
Że Halina jest aniołem,
Ale jeżeli się boisz,
Czy w śliskim kroku dostoisz,
Giń! Lub jedź w dalekie strony,
Będziesz przynajmniej chwalony.

List II Do Matusewicza z Łańcuta

Hola, mospanie! cóż to się znaczy,
Jakaż to szczerą przyjaźń waszeci?
Ów smutny obraz stawiać rozpaczy –
Kiedy Telemak ze skały leci?
Lub kazać ginąć? Lub jechać w strony?
Jakbyś nie wiedział, co duszę nęka?
Że zając łowcem raz przepłoszony,
Każdego potym człeka się lęka.

Lecz nie dziw się z porównania,
Nie nawiasem jam go wrzucił,
Bom dopiero z polowania
Zbyt szczęśliwego powrócił.
Trzyśmy uszczuli zające,
Z tych najpierwszy był kot tęgi,
Bo choć charty dosyć rącze,
Długie jednak brały cięgi.
Jam go zoczył koło miedzy,
Gdzie płynie Wisłoka rzyka.
Patrzę! Ha, co! aż kot siedzi!
Dalej kocie! kot pomyka.
Hajże go, ha! ruszy Spinka,
Za nią tuż Ścinaj z Dolotem.
Łap cap, łap cap, dał kominka
I zginął przy wsi pod płotem.
Ale przyznam ci się szczerze,
Że się już uprzykrza lirze

Puszcząć na zające charty,
Lekkie na niej grając żarty.
Raczej zwrócić zadziwienia
Do Stwórcy i do stworzenia,
Który dzieląc darem tłumy
Dał zmysł zwierzom, nam rozumy –
Bo w czym widzę, że natura
Jest zupełnie doskonała:
Oto w tym, że lotne pióra
Ptakom, a nie ludziom dała.
Gdyby też sąsiadce twojej
Los na przykład był dał skrzydła,
Rozumem, co wdzięki dwoi,
Wszystkich by w swe wzięła sidła,
Bo wzlatującą nad światem
Wszystkie by poznały strony,
A stąd, przyjacielu, zatem
Cały niemal świat szalony.
Ileż by gąb rozdziawionych

Na ziemnym było obiegu?
I oczu w górę wzniesionych,
Gdy ona w sparkim przebiegu –
Jak Jowisz wyższy nad bogi,
W swojej woli niepojęty –
Zruciłaby klęski, trwogi
Lub czcze nadziei ponęty.
O mój autorze *Herbaty!*⁷
Jeśli się to kiedy zdarzy,
Obwiń oczy w grube szaty,
Bo znów się serce rozżarzy.
Wszak niegdyś wybladła cera
I dusza nią roztkliwiona
Już straszną paszczę Cerbera,
Już łódź widziała Charona.
Wprawdzie szkoda, że na ziemi
Nie płynie źródło zapomnienia,
Boby z chwilami przeszłymi
Poszedł do tego strumienia.
Zapomniałbym o mych latach,
Co w cierpieniu zbiegły tkliwym,
Gdzie mało stąpał po kwiatach,
Ale po cierniu raźliwym.
Zapomniałbym o Lucynie,
Która – mimo wasze śmiechy –
Nieprędko w mych czuciach zginie,
Choć prawej nie da pociechy.
Lecz Cierpliwość, siostra Cnoty,
Ta, co czyste dusze zdoła,
Niechaj ukoi tęsknoty,
Może los wszystko przerobi,
Może będę, choć w siwiźnie,
Życ z jaką lubą w Ojczyźnie.

List III

Do Matusewicza z Sieniawy do Łańcuta

By los i szczęścia, i sławy,
Wspólnie łączył dwie osoby,
Potęga przyjaźni prawej
Wymaga czasu i próby.
O, jak często dobroć błądzi –
Codzienne uczą przykłady,
Gdy o innych z siebie sądzi,
Bo rzadszy człowiek bez zdrady.
Przyjaciele są jak drzewa,
Co stoją wśród pięknej niwy,
Na które równie deszcz zlewa,
Jak wiatr kołysze burzliwy.
Dla was tą niwą Sieniawa,
Macie w niej przyjaciół tkliwych,
Nim do nich nabędę prawa,
Przyjmij chociaż w lik życzliwych.
 Od podróży tobie zacznę:
 Tęśmy szczęśliwie przebyli,
 W niej żarty i drzymki smaczne
 Czas, nawet krótki, skrócili.
 O długich biczach furmany
 Jak wiatr konie popędzały,
 Szły w niebo kurzu tumany,
 A szparkie koła warczały,
 Gdyśmy nad Sanem stanęli,
 Co połowę stracił siły,
 Co swymi brzegami dzieli
Od ziemi nam obu miłej.
Ale że to wielka rzyka,
Co swe własne brzegi porze
I jakby goniona zmyka
Ku Wiśle, a z Wisłą w morze,
Zwróciłem uwagi moje,
A widząc czynne zamęty,
Którymi kryje dno swoje,
Zostałem smutkiem przejęty.
Grzbiet jej bowiem szparko płynny,
Obraz Czasu w myśli wije:
Wszystko niszczy, zawsze czynny,
Swym zamętem wieczność kryje.
Ale, przyjacielu miły,
Próżno z nas każdy wyrzeka,
Co tylko nieba stworzyły,
Wszystko jest dobrem dla człeka.
Jednak sądząc z doświadczenia

O wszelkich losów obrocie,
Dobrocią widzę marzenia,
Nieszczęścia czuję w istocie.
Nieraz wychłostał cios srogi
Bólem ciało, duszę smutkiem,
Nieraz mię zepchnął w pół drogi,
Bym się nie znał z szczęścia skutkiem.
I teraz w szalonym pędzie,
Gdy nam zerwał płaszcz nadziei,
Nieraz już byłem w tych rzędzie,
Co nie chcą czekać kolei.
Ale i rozum, i wiara,
Silni stróże ludzkich błędów,
I wieczna w przyszłości kara
Wstrzymali od tych zapędów.
Tu na mnie krzykniesz zapewne:
 «Skąd te pienia tkliwe, rzewne,
 I skąd się tobie dziś wzięło
 To filozoficzne dzieło,
 Gdzie jęczącymi wyrazy
 Stawiasz przyszłości obrazy.
 Porzuć te rzeki, te zdroje,
 Szczęśliwe siedlisko twoje,
 Chociaż szczęśliwszy ten, komu
 Bóg dobry do jego domu
 Wypuścił z obfitej ręki
 Rozumy, cnoty i wdzięki,
 Bo pierwszy dar – moc rozumu –
 Oddziela człeka od tłumu,
 Drugi dar – potęga cnoty –
 Rozwalnia w duszy tęsknoty,
 A trzeci – dwoma zajęty –
 Najmilsze życia ponęty.
 Takie to dary Bóg zrucił
 W dom, w któryś teraz powrócił.
 Słuchaj więc przyjaźni głosu:
 Nie żądaj lepszego losu.
 I odtąd niech Muzy tchnienia
 Weselsze wydają pienia.»

Wiwat, przyjacielska rada!
Zaśpiewaj, Muzo wesola,
Już z szumem z głowy wypada
I myśl czarna, i mozoła.
Zaśpiewaj! jak siostry w parze
Wojowały na bilarze.
W porównaniu niedołęzni –
I ty, wielki Herkulesie!
I wy, olbrzymy potężni!
Mniejszy łoskot piorun niesie,

Jak kiedy te damy w sporze,
Trącane chęcią zwycięstwa,
Dły w szlachetnym uporze
Dowody siły i męstwa!

Na dwie części lud dzielony
Okrył brzegi bojowiska,
W milczeniu los z każdej strony
Ciekawością z oczu ciska,
Kiedy te w przyjemnej dobie
Staną do boju obie...
Porwą za kije, bój się zaczyna,
Pierwszy kiks dała Halina.
Dopieroż przyjdą do bliższej sprawy,
Pełno huku, stuku, wrzawy,
Jak kiedy się przez powietrze
Lecąc wicher z wichrem zetrze.

Kije pękały
Kule warczały!

A w tym nieszczęsnym losie
Niejeden dostał po nosie.
Ucichło! i w zgodnej minie
Obie staną przy kominie.
Nie wiem, czy ci donieść o tem,
Bo mię tam nazwano trzpiotem.
Był to cierń nadobnej róży,
Gniew przeszkadza śpiewać dłużej.

List IV Do Matusewicza z Łańcuta do Sieniawy

Precz, niegdyś wdzięczna liro Homera,
Co wiesziesz liczne ku Troi Greki,
Gdzie płomień świetne mury pożera,
A śmierć trupami zwraca bieg rzeki.
Precz! ty przywodziś obraz tej nocy,
Kiedy – pomimo rycerze dzielne –
Nasiąkła zemstą chmura z północy
Zruciła na nas gromy śmiertelne.
Was ja to wzywam, Żarty niewinne,
Okrazy Wdzięków i Cnoty cechy,
Rozpuśćcie wkoło skrzydełka zwinne,
Miłe Przekory, wdzięczne Uśmiechy.
Niepomny trosków bieg myślom dajcie
I duchem niegdyś bilarowej bitwy
Wesołym pieniem przyjaźni podajcie
Zręczne trzeciaka gonitwy.

Gdy w inne kraje pochylone słońce
Nowym porankiem witało stworzenia,
Z głębi powietrza wyszły gwiazdy drżące,
Lekki rzucając błysk na nocne cienia,
Wówczas i Wdzięki rzucały siedliska,
Przez długie kładki szparkim sunąc krokiem
Ku sali, kędy plac pobojuwiska,
Tylu poległych cnej Haliny wzrokiem.
Tam, gdy się w jedno grono zebrali
(Nie wiem, skąd nawet myśl przyszła taka),
Staną dwie siostry na śródku sali
I krzykną: «Idźmy w trzeciaka!»
 «Idźmy!» – krzyknęły, i każdy leci.
 «Ja łapię!» – woła Halina –
 Nuż dalej, stawać, kto będzie trzeci?
 Niech się szyk po dwóch zaczyna!»
 Stanęli. A z szufskiej wioski
 Najpierwszy krzyknie: «Ja trzeci!» –
 Bo nie wiedział, co za troski,
 Kto w Haliny ręce wleci –
 Pierwszy też został złapany.
 Porywczym będzie nauką,
 Bo Halina na przemiany –
 To wstępny bojem, to sztuką,
 Jak lekka na błoniach łania
 Po przestrzeni sali bieży,
 Uciekających dogania
 I popłoch niesie młodzieży.

Spoczęła. Aliści leci
Bohatyr w odważnej minie
I ledwo krzyknie: «Kto trzeci?»,
Stanie przy trzeciej Halinie.
Złapana, upiekła raka,
A gdy każdy w ręce bije:
«Już odtąd nigdy w trzeciaka
Grać nie będę, póki żyję!»
– Rzekła
I do kominka uciekła.

DZIEŁA MIŁOŚCI
czyli
MUZ I PEŹLA ŻARTY

«Giovanni Gherardo de Rossi jest autorem dzieła pod tytułem *Scherzi Poetici e Pittorici*. Tego w jednej części jestem tłumaczem z pewnymi odmianami, w drugiej naśladowcą.»

Miłość żeglarzem

«Wzywasz na morze i już do biegu
Rozpinasz żagiel. Puszczę się z tobą,
Jeśli spokojność mojego brzegu
Zabierzesz z sobą.

Nie dosyć na tym, w szalonym pędzie,
Gdy burza zechce ciszę wód skłócić –
Czyli naówczas wolno mi będzie
Do siebie wrócić ?»

– Rozśmiał się chłopiec, żagiel rozwinął
I do zuchwalszych popłynął.

Kuźnia miłości

Z pustoty i z ciekawości
Wszedłem do kuźni miłości.
Tam już jedne w pękach stały
W rozmaitych kształtach strzały,
Drugie chłopczyk w ręku z młotem
Nabijał złotem.
Z uśmiechem patrząc się na nie –
«Mój mały – rzekłem – Wulkanie!
Pokaż mi, gdzie jest ta strzała,
Co mi serce przebić miała?»
Na mój uśmiech wstrząsnął głową
I mruknął z miną surową:
«Nieskończona!
Na jutro ci wygotuję,
Właśnie teraz zaostrzona
W okrucieństwie się hartuje.»
Niebaczny! za żart to wziąłem,
Co sobie mruczał chłopczyzna.
Przyszło jutro... i zginąłem...
Resztę niech powie Malwina,
Bo mnie na myśl tej swawoli
Zawsze jeszcze serce boli.

Miłość i Śmiałość

« Ślepy jesteś i mały,
Chybiać będą twoje strzały.
– Rzekła matka do chłopczyka –
Lecz troskliwa o twą całość
Daję ci za przewodnika
Bojaźliwość albo Śmiałość.
Wybieraj, czekają obie!»
Wybrał chłopiec Śmiałość sobie.
I od tej pory to dziecię małe
Tak się zrobiło zuchwałe,
Że nie dość, że strzały ciska:
Lecz z kochanków bojaźliwych,
Z ich cierpień skrytych i westchnień tchliwych
Czyni urągowiska.

Miłość i Podejrzliwość

Raz w zamyśleniu i na ustroni
 Pod dębem, co go okrywał,
Bożek miłości wsparty na dłoni,
 Gdy nader długo spoczywał,
 Czymś ważnym zajęty cały,
Postrzegł, że ogień w pochodni nikał.
 Więc, aby go rozdmuchały,
 Na swoje sługi krzyknął.
Lecą ich niezmierne tłumy:
Młodość, Weselość i Wdzięki,
Żarty, Dowcipy, Rozumy,
Tkliwe Westchnienia i Jęki,
I Nadzieja, wszystkim droga,
I Niespokojność, i Trwoga,
Litość, Łagodność i owe
Różne Niezgody chwilowe.
Na koniec, w świetnej ozdobie,
Mistrzynie całego grona –
Dotąd wszystko dobrze, zgodnie,
Chłopczyna trzyma pochodnię –
 Każda dmucha,
 Płomień bucha,
 Już się pali, już się wzmaga!
Ale chłopca nieuwaga:
Pozwolił Podejrzliwości
Dmuchać w pochodnię miłości
 I wtedy właśnie,
W samym rozpale, pochodnia gaśnie.
 Malwino! drży serce moje,
 Twojej nieufności się boję.

Żale Miłości przed matką

Skarżył się matce chłopczyna,
Że nim pogardza Malwina
I że wszystkie jego strzały
Odskakują od zuchwałój.
Lecz matka na to, tuląc go do siebie:
«Wielkie jeszcze dziecko z ciebie.
Weź Młodość, Dowcip i Śmiałość,
Przybierz je w całą bogactw okazałość,
I w obojętnej minie
Ukaż się z dala Malwinie.»
– Uśluhał chłopiec, rada niepłocha.
Kocha Malwina i mocno kocha,
Co gorzej, tego, co od niej stroni.
A niepamiętna,
Ile udęczeń niosła obojętna,
Na Obojętność lzy roni.

Wojna Miłości z Przyjaźnią

Nieprzyjaciółka Pokoju,
Zawsze gotowa do boju,
Ufna w swoje siły zbrojne,
Nic nie mając na uwadze –
Miłość – wydała Przyjaźni wojnę
O większą nad ludźmi władzę.
Do tej niezgody
Byłyć powody:
Bo podobno Serce Zosi
Przyjaźń nad Miłość przenosi.
Omijam, co obie strony
Użyły do swej obrony.
Wpółród ich odważnych szyków
Na przemiany szło zwycięstwo:
Równa liczba niewolników
I prawie jednakie męstwo.
Na te klęski, na te boje,
Ileż to się łez wylało!
Ach, były tam łzy i moje!
Nie powiem, komu Serce sprzyjało
Lecz przecież Jowisz rządzący w niebie
Wznosząc prawicę w pioruny zbroję
Zawoławszy je przed siebie
Tym wyrokiem skończył wojnę:
«Traf Ślepy Serce wyciągnie,
A Sprawiedliwość osądzi,
Która z was nim silniej rządzi,
Która zwycięstwo osiągnie.»
Rzekł; na toczystym stojąca kole
Ślepych wypadków bogini
Świątą Jowisza dopełnia wolę
I do głębokiej wieczności skrzyni,
Gdy obojętną ręką posiągnie,
Serce wyciągnie.
Serce! ach, czyje? wzrok wznieść się boję!
Malwino, twoje.
Posłuszne bogu, ledwie spostrzegły,
Przyjaźń z Miłością w nie wbiegły.
Pierwsza w nim z lekka aż do dna duszy
Najsłodsze uczucia wzruszy;
Druga przeciwnie, płonąca,
Wszystkie razem żądze zmaca
I nieustannie dziwaczy:
To się oddaje rozpaczy,
To znów się nadzieją łechce,
To pragnie, to znowu nie chce;

A gdy w sprzecznych żądań tłumie
Dręczy się, troska, wyrzeka
I radzić sobie nie umie –
Do Przyjaźni się ucieka.
Tu Sprawiedliwość, ponurego czoła,
Zachwiawszy szalą zawoła:
«Słuchajcie! – obie zadrżały. –
Równej są wagi waszych władz skutki:
Ogień Przyjaźni powolny, lecz trwały;
Ogień Miłości wielki, lecz krótki.»
– Tym wyrokiem, ich pokojem,
Ziemia się uradowała.
Malwino! nie wiem, co w sercu twojem,
Lecz w moim Miłość została.

Czas do Malwiny

Twój wzrok tkliwy, twarz blada i częste westchnienia
Wyjawiają przyczynę skrytego cierpienia.
Ty myślisz, że twe Serce, w takim jak dziś stanie
Strute srogą Miłością na zawsze zostanie?
Nie, Malwino! Ten pewnie i pewnie nie błądzi,
Co wierzy, że Czas wszystkim, i Miłością, rządzi.
 Któż ubrał ziemię w rozmaite szaty?
 Twój gaj rozwinął, twe ufarbił kwiaty?
 Kto koła losu i szczęścia obraca?
 Kto państwa wznosi i państwa wywraca?
 Lub czyją władzą rządzą kolej mienią
 Lato za wiosną, zima za jesienią?
Czasu to dzieła. Czuję w nas ich skutki:
Byt i zniszczenie, pociechy i smutki.
I twoich jęków, o piękna Malwino!
Wierz mi, nie Miłość, ale Czas przyczyną.
Bądź jeszcze chwilę wytrwała,
Odmiany jesteśmy dzieci:
Miłość z Czasem przyleciała,
Miłość z Czasem i polecą.

**ALEKSANDER
LINOWSKI**

«Nie mieć na przyszłość życzenia,
Brać równie wszystkie zdarzenia,
Lubić zimę równie z latem,
Cierń kołący z wonnym kwiatem,
Noc dżdżystą lub piękne zorze?...
– O, to być wcale nie może!»

Herbata z winem

Na balu w przemyskiej ziemi
Pełnym gośćmi znanymi,
W domu powszechnie kochanym,
Gromadą cnót pięknych znanym,
W dzień imienin pani domu
Nie brakowało nikomu,
Chyba wyrazów wdzięczności
Ustom, pełnych tym dniem gości.

Pewna na tym balu dama
Nie wiedząca o tym sama,
Że jego ozdobą była,
Skromnie się w kącik schroniła.
Siadła i z nią Wdzięki razem,
Spoczynku była obrazem.
Mężczyźni tuż za Wdziękami
Szli ją bawić rozmowami.

Rozmowa była ciekawa –
Obojętności szła sprawa.
Ona jej słodycz wielbiła,
Na wszystko ją rozciągnęła:
Lecz chociaż jej słowom wierzę,
Nie wiem, czy to tylko szczerze.
Ci jednak szczerze ganili,
Co wtenczas przy niej bawili.

«Na wszystko być obojętną,
Nie być na przeszłość pamiętną,
Nie mieć na przyszłość życzenia,
Brać równie wszystkie zdarzenia.
Lubić zimę równie z latem,
Cierń kolący z wonnym kwiatem,
Noc dżdżystą lub piękne zorze?...
– O, to być wcale nie może!»

«Wszystko, wcale jedno!» – rzekła
I zimnym wzrokiem powlekła
Wszystko, co się przed nią snuło.
I wszystko ten wzrok poczuło.

Tocząc resztę rzekłem dalej:
«Na jednej więc kładziesz szali,
Na przykład Marynki twoje
I me klasztorne pokoje?
Lub martwe piaski Sieniawy
I świeże życiem Puławy?
Albo wiersz ten, prosto drobny,
I *Wieniec Halki* nadobny?
Lub południe terażniejsze
Z pięknych godzin najpiękniejsze

Z dniem ciężącym chmurami?
Bądź, prosimy, szerszą z nami!»
 «Ej, dajcież mnie pokój, biednej,
Czyż to tylko we mnie jednej
Tę obojętność widzicie?
Pewnie, że z nią słodsze życie!»
 Spór ten uśmiechem przerwała
I – «Herbaty!» – zawołała.
 Tłum się rozbiegł po pokoju
Szukać jej tego napoju.
 Z cierpliwą czekając miną
Chciała herbaty z cytryną!
«Z cytryną!» – dwakroć wołała
(Bo ją tak zwykle pijała).
 Lecz na sprzecznych zawstydzienie
Poprzeć dowodem mówienie
Natychmiast porę znajduje.
– Niech z nas każdy odżałuje
Próżnej słów swoich utraty
– Dano jej z winem herbaty...
 «Z winem zaś? Nic to!» – znów rzekła
Wzięła, wypła, uciekła!

JAN MAKSYMILIAN FREDRO

**Wiersze ofiarowane księżnie Marii z Czartoryskich Wirtember-
skiej**

«Jeśli przymiotem jakim serce moje zdobię,
Komuż co jestem winien, jeżeli nie Tobie.»

Do słowika

Ty, co przerywasz twym pieniem
Lubą cichość tej gęstwiny,
Zaczekaj nad tym strumieniem
Przyjścia nadobnej Haliny.

Gdy jej wdzięczny głos usłyszysz,
Co w słodkie wprawia dumanie,
Natychmiast sam się uciszysz –
Tak śpiewać nie jesteś w stanie!

Niechaj cię uczy śpiewania,
Bo tkliwiej od ciebie śpiewa,
Ty ją ucz sztuki kochania,
Bo na tej tylko jej zbywa.

Do Haliny

Miłością – to głębokie ja zowie wrażenie,
Świata, siebie samego całkiem zapomnienie!
To czucie proste, tkliwe, podległe, nieśmiałe,
Gwałtowne, lecz bez przerwy; nagłe, ale trwałe,
Które nadzieja zwiększa, lada bojaźń wzruszy,
Ten to ogień, co z oczów przechodzi do duszy.
Na koniec to, co tylko czuję dla Haliny,
I to, co mnie wygania do Indów krainy.

Do Haliny

Na samej tylko miłości wspomnienie
Zaraz zaczynasz postać Twoją mienić,
Głębokie z serca wydając westchnienie
Mówisz, że przyjaźń chcesz tylko już cenić,
Że z nią jedynie doznałaś słodczy,
Że na jej łonie spoczywać tak mile!
 Miłość zaś kryślisz jak źródło goryczy,
W którym dni twoich zasepiłaś chwile.
Zranione serce płonnymi pieśszczoty
Lekką wabności okrywając zbroją
Chroni cię wprawdzie przechodniej zgryzoty,
Ale szczęśliwość czyliż robi twoją?
 To widmo lekkie, co Szczęściem się zowie,
Co każdy w innej postaci ugania,
Rzadkie w istocie, a ustawne w mowie,
Jest tylko dziełem wspólnego kochania.
W Twoich oczach jego skryte jest narzędzie...
Ale myśl moja może już za śmiała!...
Jednak niech wolno choć żalić się będzie,
Że przyjaźń tylko dla mnie już została!!!

Moje dumania

*Eh! que fait l'univers à ma douleur profonde?
Que me fait une partie, et le reste du monde?
Tancredi, trag. de Volt*

Głuchym żalem osłupiały, nieszczęściem ciśniony, serce mając pełne ponurego smutku, którego z mych oczów prawie gwałtem łzy wyciskał, niespokojnością miotany (jak gdybym mógł się jeszcze nieszczęścia obawiać!), unikając pustej cichości, która w moim pokoju na mnie czekała, gdyż ta rozdzierała jeszcze zranione już serce, nie mogąc zwrócić wzrok na siebie bez największej przykrości, umyśliłem niepokodą odurzyć me cierpienie, sam nie wiedząc, gdzie pójdę. Nawiasem wszedłem do ogrodu.

Którym to mierzając obłądnym krokiem
Smutek mi stawiał wszędzie przed wzrokiem,
Gdyż nie miał wiosny wdzięcznej oznaki –
Gniewliwe tylko wiatry huczały
Pomostem kładąc drzewa i krzaki,
Burzyć się zdawał świat prawie cały.

Ta niezwykła i burzliwa wiosny postawa podobną do mojej młodości być mi [się] zdała – jej zwyczajna cichość i swoboda strasznym wichrem była zburzona, dni zaś mojej wiosny, które zwykle dla wszystkich kwiecistą drogą się toczą, naj gwałtowniejsze ze wszystkich czucie zasępiło. Jedną tylko różnicę widziałem między terażniejszym roku a moim porankiem i myśląc o niej mówiłem sam do siebie:

Wiatr się uciszy, słońce zajaśnieje,
Wonie siał będą kwiaty odrodzone,
Ciche łąk smugi i samotne knieje
Co dzień świeżając będą znów zielone.
Wtenczas i słowik miłośnie zanuci,
A tak, choć później, przyjemność się wróci.

Ledwie się gdzieniegdzie, i to słaby, znak zostanie niepokód, które wytrzymała, a uspokojona i do właściwej sobie wróciwszy piękności

Wiosna, gdy złączy wszystkie wdzięki i powaby,
Gdy upiększy, orzyźwi wzgórki i doliny,
Wtenczas mym oczom stawi – lecz, o, jak zbyt słaby! –
Obraz wdzięków, powabów, przymiotów Haliny.

Ale co dni moje, choć jeszcze do poranku wieku mego należą, jednak ponura noc już ich zakryła, już nigdy się dla nich niebo nie wyjaśni, zorzy szczęścia, choć najmniejszy, promień już im nigdy nie zabłyśnie.

Wszystko, ach, wszystko, niestety! już dla mnie stracone!
Z czarnej przędzy uwite, a bluszczem splecione,
Pasma życia mojego strzępiąc się na głogach,
Ciągnione smutnym Musem, po stepach i drogach,

Ostatnią nić swą przerwie w odległej krainie,
Gdzie wraz z nim wspomnienie bycia jego zginie.

Tak dumając nad smutnym losem, którego na mnie czeka, z ciężkością szedłem pod górę, a doszedłszy jej wierzchołka, znowu na dół trzeba było się spuszczać. Droga, którą szedłem do góry, była trudną i pełno w niej przeszkód znajdowałem. Tu ogromny leżał kamień, którego z ciężkością przyszło mi przebyć, tu chropowaty, gruzami najeżony grunt wstrzymywał kroki moje, tam oderwany od drzewa konar nową stawał się mi zawadą. Jednak wszędzie, wśród najprzykrzejszej przeprawy, wśród śliskich kamieni i zawad, świeżo rozwinięte kwiaty oko bawiły i zachęcać się zdawały do postępowania coraz dalej, obiecując niby łatwiejszą i gładszą wyżej drogę. W samej rzeczy, im wyżej szedłem, tym równiejszy znajdowałem gościniec, ale coraz to kwiatów ubywało. Nareszcie doszedłszy szczytu góry znalazłem mały przeciąg płaszczyzny; na nim i obok niego widziałem wprawdzie jeszcze kwiaty, ale bardzo rzadko, a któregośkolwiek dojrzał, zawsze uważałem, że przed lub za nim ciernie się srożyły.

Zaraz za kawałkiem tej równiny nagły stok góry się zaczynał. Droga po nim była gładką; kamienie ani gałęzie nie wstrzymywały kroków. Sosny, w których po bokach wiatr huczacząc ku ziemi nagiął, cień smutny smutnej drodze dawały. Niczym ona nie jest ozdobiona, obok niej tylko, także na schyłku tejże samej góry, wznosi się gmach wspaniały, którego zdaje się wyzywać i żądać z wiekami iść w zapasy. Ten gmach poświęcony jest pamiątkom samej Polski i wystawiony ręką, która, gdy konającą Ojczyznę bronić nie mogła, przynajmniej zachowuje jej szczątki, które choć poniekąd drażnią nieszczęście nasze pochodzące ze straty kraju, jednak nam miłe sprawują uczucie, gdyż zawsze straciwszy przytomne szczęście człowiek wspomnieniem wraca się w przeszłość i znikłym nowym sobie rodzajem szczęścia w wyobrażeniu tworzy, którego choć nie ma trwałości i powabów pierwszego, jednak zawsze jest przyjemnym.

Tak nieszczęśliwym losu zrządzeniem
Kochanek postradałszy swoją ulubioną,
Gdy dokonywa wolnym cierpieniem
Dni obmierzłe, z rozpaczy, łzów i mąk złożone,
Nagle spostrzega dobrze mu znaną
Szatę, która jej niegdyś wdzięki okrywała:
Myśli, że widzi swą ukochaną,
Myśli, lecz nie śmie wierzyć, by z grobu powstała,
Chce ją uściskać, błąd swój poznaje,
A czezej nadziei promień, co chwilę zabłysnął,
Bardziej go jeszcze w przepaść rozpaczy pocisnął.
Ale wspomnienie rękę mu daje
I w przeszłości wskazując kochanki rys miły,
Znikłym szczęściem – nieszczęście znosić daje siły.

Zostawiwszy już za sobą pamiątki, ujrzałem się na wstępie cichej doliny, smutna spokojność w niej panowała, wiatrów, które mną chwilę dopiero miotaly, nie czułem, tylko jeszcze słyszałem, lecz i to coraz słabiej, łoskot ich na górze, a wszedłszy w głębsz tego cichego ustronia już odgłos ich do mnie nie dochodził. Te dwie drogi, tak przeciwne sobie, zdawały mi się być żywym obrazem życia ludzkiego. Wieleż to przeszkód, trudności człowiek przebyć musi, nim wyjdzie z dzieciństwa i nim dojdzie do dojrzałego wieku, ale te przeszkody niebaczność wieku nie daje postrzegać i tylko same kwiaty wszędzie wskazuje. Wiek zaś dojrzały już mało rozkoszy i ukontentowań pozwala bez przeszkód używać, gdyż zaraz rozważa, a potem tyjąc drobnosci, które w samej rzeczy niczym są, a na które jednak człowiek żyjący w społeczeństwie uważać musi, tuż obok kwiatu ciernie mu stawiają, lecz i to – jak krótki jest prze-

ciąg z pierwszej młodości do wieku, w którym się już bliżej grobu niż kolebki widzi. Ten stok raptowny życia już tylko chyba same wspomnienia zdobić mogą, on to wprowadza do tego zacisza, gdzie się kończy wszelkie cierpienie, lecz i szczęście, jeżeli się kto z nim w życiu spotkał. Ale nie każdemu jest dane cały przeciąg życia wzwyż pomienionym śladem przebyć, nieraz nieszczęścia i namiętności przeniósłszy młodość ponad wiek dojrzały, ponad starość, w śmierci spokojności szukać każą. Z tych to namiętności [miłość] najmocniejsza i której oprzeć się nie jest rzeczą ludzką, i najokropniejsza, co do skutków, gdy nie jest dzieloną, ona to, mówię, niszczy wolnym ogniem młodość moją, ona, co dla innych wszystko ożywia, dla mnie wszystko zasępiła, ona, co zwykle na nadziei się wspiera i nią tylko żyje, u mnie przeciwnie, zajmując się wiecznym ogniem w mym sercu wstęp do niego nadziei zbrojnym uczyniła:

Ty, co zdradnie, lecz przyjemnie
Gmin śmiertelnych zwykle wodzisz,
Mnożąc męki, gdy je słodzisz,
Nie znajdziesz igrzyska ze mnie!
Gdyż ten płomień, którym tleję,
Wszelkie wzbrania mi nadzieje!

Potem dziwiają się, gdy mówię, że nigdy już się teraz nie uganiam za widmami nadziei, że nie słucham już więcej jej łudzających podszeptów. Niech ten, któremu dziwaczny zdanie moje się wydaje, niech chwilę się na moim miejscu postawi, niech zobaczy, jak starannie unikać muszę, bym się w przyjemne, lecz zdradne obłędy nadziei nie zapuścił, a przekona się, że ja nadziei nie nienawidzę, lecz unikam jej łudzącego przymilenia bojąc się, by jej uniesiony wdziękami, bardziejem nie został nieszczęśliwym, jeżeli jeszcze więcej nieszczęśliwym być można!

Mieszkanie niegdyś Haliny, które przed sobą ujrzałem, przerwało mi ciąg mego rozmyślenia, wzgórek, na którym się wznosi, młoda trawka zaczynała okrywać i już się dobrze zieleń, lecz fale miotane wiatrów pędem przychodziły tłuc się o niego, jak gdyby zazdrosne spokojności tego ustronia, przerywać przynajmniej żądały jego swobodę, nie mogąc zupełnie ją zniszczyć. Dom i okrag jego, nawet w niepogodzie, miał cechę przyjemnego pokoju – tak jak dusza Haliny; powierzchowność jego kształtna i ozdobna – tak jak jej postawa, lecz smutek wszystkie te piękności mroczył, gdyż jej przytomności brakowało dla ożywienia tychże i dodania im nowych wdzięków.

Fiałki, których zapach Halina tak lubi, wiosna dla drugiej siebie przed jej domu oknami usłała; pragnąc przynajmniej tym się Halinie przypodobać, nazbierałem ich dla niej. O! Jak zazdrościłem ich losu:

Wzywałem ciebie! Greków przyjemny marzeniu!
Abyś przybył z pociechą, ku mojej pomocy
I gdy mnie smutek w wiecznej składać będzie nocy,
Byś tę ulgę przynosił srogiemu cierpieniu:
Że mój duch, ludzką z siebie gdy powłokę zrzuci,
Inną znowu istotę ożywiać powróci
I kiedyś, wiosny tchnieniem świeżo odrodzony,
Że będę od Haliny, choć w fiółku, lubiony.

To samo miejsce jak odmiennym niedawno uczuciem napełniało me serce – wtenczas w jej przyjaźni znajdowałem, choć chwilami, ulgę dla mego cierpienia, teraz już i tę mi usunęła,

znać widziała, że zbyt słodką jej ulga dla tego była, któren z przeznaczenia ciemnym torem
wszystki chwile życia swego snuje i snuć będzie –

Jak podczas nocy ponurej,
Gdy posepnym tokiem chmury
Jedna na drugą się ciśnie –
Nagle w ich przerwie zabłyśnie
Gwiazda, co ledwie zoczona,
Nową chmurą zasłoniona.
Przed okiem znika i gaśnie,
Tak też błysk przyjaźni właśnie
Zajaśniał chwilę i zginął
Tyle wiem, że był i minął.

Na wiatrami wzburzonych wodach unosiły się w nieporuszonym pokoju trzy łabędzie i
spokojnie w mętnych nurtach pożywienia szukały nie zważając na rozhukaną wodę ani na
wicher, któren nimi miotał.

– Wieleż to ludzi – myślałem sobie – żyje w podobnym do nich pokoju, którzy ukontento-
wania czuć nie są w stanie, ale którym też żadna przykrość nie dokuczy, którzy w obojętnym
prawie duszy uśpieniu zawsze jednakowo dzień po dniu przebywają. Może są oni szczęśli-
wymi w tej zimnej nieczułości, ale przecież nie zazdroszczę im tego: wolę moją niedolę niż
ich szczęśliwość, wolę, że znałem Halinę, choć stąd jestem nieszczęśliwym, niż żebym był
nigdy jej anielskiej postawy nie widział i nie poznał jej duszy, którą chyba z niebianami po-
równać można. Nadbrzeżem tej mętnej wody smutno nazad wracając stanąłem przed Ołta-
rzem Przeszłości, któren pod cieniem odwiecznego jarzębu, wśród dwóch cyprysów się
wznosi. Poniewolnie myśl moja wstecz się wróciwszy, przypominać mi zaczęła ten dzień,
któren nigdy w mej pamięci nie zaginie, dzień, w którym pierwszy raz Halinę zobaczyłem, a
zobaczywszy ją – już więcej nic prócz niej nie widziałem. Już dawno była odeszła, a jeszcze
stał jak wryty, oczy mając wlepione w to miejsce, które już opuściła, a postrzegłszy się, że jej
nie masz, zdało mi się, jak gdyby świat się cały na mnie zwałił. Miejsce, którem chwilę pier-
wej miał za piękne, bez niej zdało mi się być dziką pustynią.

W i d z i e ć j ą i k o c h a ć b e z n a d z i e i było to u mnie dziełem jednej chwili; zlą-
kłem się wrażenia, które na mnie uczyniła, jakżebym moje nieszczęście przeczuwał. Przed sobą
samym chciałem być ukryć ten płomień, któren zaczynał pożerać mą duszę; zwracając wzrok
na inne przedmioty chciałem się odurzyć, lecz widziawszy raz Halinę, cóże się na świecie po-
tem podobać lub cóż więcej przywiązać może! I tak, niestety, próżne były me usiłowania,

Gdyż tam, gdzie Miłość panuje
Lub gdzie myśli więzy wkładać,
Próżno Rozum usiłuje
Swą przewagą nad nią władać.

Słabe przy niej wszystkie czucia –
Życie słodzi, gdy jest tkliwa,
Lecz dla chwil naszych zatrucia
Nieraz okrutną przybywa.

Taką ona dla mnie przybyła. Niezglądzoną rysem obraz Haliny w mym sercu wyrwawszy
szczęście i pokój na zawsze z niego wyгнаła, zabrawszy nawet nadzieję odzyskania go kie-
dykolwiek. Od tej chwili zaczyna się pasmo nieszczęścia – mego nieszczęścia! – które jed-

nak nad wszelkie inne szczęście przekładam, w którym czasami znajdowałem choć cień przyjemności, lecz teraz już i ten cień znika, tak jak z zachodem słońca wszystkie niktą cienie. Obojętnym i na pół już martwym okiem teraz na świat poglądam, wszystko teraz dla mnie jest jedno:

Czy słońca tok promienny dni nam wiedzie jasne,
Czy gniewliwe pioruny w czarnej mruczą chmurze
Grożąc całkiem zniszczeniem przelękłej naturze –
Równie nieszczęsny cierpiąc z wolna gasnę.

Teraz jeszcze przytomność Haliny znośnym mi życie czyni, pomaga mi dźwigać ciężar tych dni czczych i mdlejących prawie, ale wkrótce... nie!... nie mogę o tym pomyśleć bez największej rozpacz. Myśl, że to już na zawsze... szarpie, rozdziera duszę moją! Myśl, która mnie wszędzie ściga i która chwili pokoju mi nie daje. O! jak dla mnie jest okropną! O, jak jest straszną! Jednakowo trzeba będzie na zawsze... tak, na zawsze rozstać się z Haliną. Każda godzina, każda minuta, co mija, zwiększa nieszczęście moje, przyspieszając tę chwilę, która dla mnie straszniejszą jest od najokropniejszego zgonu. Mogę przy tym nie nurzać się w smutku? Mogę być, mogę nawet udawać, że jestem wesołym! Kiedy wszędzie, gdzie tylko wzrokiem rzucę, nieszczęście moje postrzegam; czy we śnie, czy na jawie zawsze przed oczyma mi staje. A do tego, o! jak się boję, żeby godzina, która mnie od niej uniesie, nie była także ostatnią godziną, co w jej pamięci żyć będę! Straciwszy mnie z oczu może i wspomnienie moje straci?!

Halino! Jeżeli tobie litość znana!
Jeżeliś tak czuła, jak jesteś kochana,
To w twoim szczęściu wspomnij czasem sobie
Tego, co wkrótce żal położy w grobie.

Tuż prawie przy Ołtarzu Przeszłości, w samym wejściu Groty, na mchem obrosłym głazie znalazłem, lecz już czasem i niepokogą prawie całkiem starte, znaki wierszów. Już ich przeczytać nie można było, ale po małych słów ułomkach, co jeszcze zostawały, poznałem moje pismo i przypomniałem sobie, że to były *Wiersze do Nadziei*, którym był napisał na tymże kamieniu pierwszego roku mego tutaj przybycia. Wtenczas jeszcze życie miałem przed sobą, wtenczas nie znając jeszcze prawdziwej miłości żądałem jej przybycia, gdyż niedoświadczony i niebacznym wzrokiem moim unosił się nie zważając ponad jej cierniami, a same tylko kwiaty w niej spostrzegał. Wtenczas także lubiłem się ludzi nadzieją, bom Haliny nie znał. I ja także niegdyś nadzieję mą bóstwem mieniłem, i ja także o szczęściu myślałem, tysiączne czyniąc zawsze układy, by dojść do niego. I już nawet stojąc nad przepaścią brzegiem, jeszcze mi się szczęście marzyło, lecz, niestety, minąłem się z nim w biegu.

I szczęścia mego utworzone mary
Znikły jak lekkich Zefirów pary,
Co popieściwszy łąki i gaje,
Nabrawszy woni z różnego kwiatu,
Te, co chłodziły, rzucają kraje
I lecą ginąć w inną część świata.

Później zaś, gdym już obłudę moich poznał nadziei, i gdym się już przestał uganiać za dziwnymi młodości mojej marzeniami, gdy już ciężar nieszczęścia osobności szukać mnie przymuszał, o! wiele razy z Jungiem lub Herweyem w rękę w tej Grocie znalazłem schro-

nienie. Posępność miejsca, żalose Junga skargi zwiększały poniekąd cierpienie, ale nurzać się w smutku i zgryzocie rozkosz znajdowałem, gdyż tym samym rozdierałem bardziej zranione już serce; a to jest jedyne ukontentowanie, które mi teraz zostaje! Nie mogąc być szczęśliwym, chcę być najniezwyklejszym! Wkrótce już i waszego zacisza – posępne groty! – nie będę mógł nawidzać, a gdy te miejsca, dla mnie tak drogie, będę miał porzucać, wtenczas na jednym z naszych kamieni ten napis położę:

Wy, coście nieraz kryły smutne me dumanie,
Rzucając was na zawsze, przyjemne jaskinie,
Przyjmijcie już ostatnie żalu pożegnanie.
A gdy kiedy schronienie dacie tu Halinie
Przed burzą lub przed słońca zbyt skwarnym upałem,
Wtenczas wy, martwe głązy, stwierdzone wiekami,
Powiedzcie jej, że nocy okryty cieniami
Nad swą nieszczęsną dolą tu nieraz płakałem!
Powiedzcie, że odbierze jej słodkie wspomnienie,
Jeszcze dla niej, ostatnie życia mego tchnienie!

Smutnej przeszłości wspomnienia, a oczekiwanie jeszcze smutniejszej przyszłości, tłok myśli czarnych mi przywiodły: w ich smutne zapuściwszy się cienia szedłem obojętnym ponad wszystko powłóczęc wzrokiem, a bardziej szedłem nic nie widząc prócz mej niedoli. Kasztan niezmierny zwrócił na siebie oczu moich martwe błędy, poznałem, że to był ten sam, pod którym niegdyś Halina tak mile spędziła poranek, gdzie przyjemną słodyczą napelniała swe serce wycytując wyrazy czulego przywiązania. Miłym jej było to przywiązanie, przyjemne nieraz z niego dla niej wynikały chwile.

O! jak zazdrościsz temu, kóten może lub kóten mógł niegdyś przyczynić się do przyniesienia jej ukontentowania, choćby i na chwilę tylko. Lecz ja nigdy tak szczęśliwym nie będę, nigdy wyrazy mego czucia, które wkrótce z oddalenia będę jej przesyłał, przyjemnego jej nie uczynią wspomnienia i nigdy nie powie wycytując je: «O, j a k m i ł o j e s t t k l i w i e b y ć k o c h a n ą.» – Usiadłem na tej samej ławce, na której Halina siedziała podczas tego poranku, kóten jej wspomnieniu jest tak miłym. W wyobrażeniu zdało mi się, że widzę te pawie, które wtenczas wśród kwiatów były do słońca różnobarwne swe pióra poroztaczały, czułem także wonie kwiatów, które one dla niej wydawały, zdało mi się nawet, że widzę ten krzak jaśminu kwitnącego, z kótego ona była wtenczas kilka kwiatków zerwała. Obok niego spostrzegłem mirt zielony, a chcąc z niego choć jeden listek urwać, wyciągnąłem rękę, lecz poznałem, że zbyt daleko mnie było wyobrażenie uniosło i że śmiesznie było po mirt siągać, kótego nie było, a potem... gdzież go mogę ja znaleźć! Wyszędłszy z zapędu obłudnych marzeń dopiero postrzegłem, że mocny deszcz padał, kóten coraz bardziej się zwiększając przymusił mnie wrócić do domu.

Halino! gdy mnie już nie będzie, przebiegając te miejsca, w kótrych to dumałem, pomyśl choć wtenczas chwilę o mnie, a jeżeli jeszcze westchnąwszy (lecz nie śmiem sobie tego obiecywać) powiesz, że w twym sercu me nieszczęście litość znajduje,

To wtenczas słów twych dźwiękiem powietrze wzruszone
Pozwoli, by Zefirów powiewem niesione
Doszło do mnie, mieszkańca już wyższej krainy,
Nad mym nieszczęsnym losem westchnienie Haliny.

Pisane dnia 29 kwietnia 1805 r. w Puławach.

Napis położony pod sylwetą Haliny 12 kwietnia w Warszawie 1808

Tyś pierwsze w sercu moim wzniciła płomienie,
Dla Ciebie pierwsze smutku wydało westchnienie
I pierwszy raz na Twój widok lutni mojej dźwięki
Nucić zaczęły: Miłość, Nieszczęście i Wdzięki!
Jeśli przymiotem jakim serce moje zdobię,
Komuż co jestem winien, jeżeli nie Tobie?
Nawet, że Ciebie kochać nade wszystko umię,
Żem odparł srogą rozpacz w ciężkich zgryzot tłumie
I że Przyjaźń me serce za swe bóstwo wzięło,
Halino! Twoje jeszcze, Twoje to jest dzieło!
Szczęście i Rozpacz równie Twoim wzniecasz głosem,
A gdy płocho igrając poddanym Ci losem
Przekonywasz, że szczęście słabym tylko cieniem...
To cień Twój słaby moim jest uszczęśliwieniem.

Miłość stała...

Miłość stała, jak przestrzeń jeziora spokojna,
Głęboka, jednostajna, zawsze czysta, lśniąca,
Niewzruszona od burzy ni gromów tysiąca,
Która innych wód dani nie szukając wcale
W swoich obfitych źródłach odradza swe fale!
Miłość zaś płocha z bystrym równa się potokiem –
Pada, leci i mrużąc ucieka przed okiem,
A wkrótce wysychając w błędnym biegu kona –
Wpośród burzy zrodzona trwa tyle, co ona.

Rys dwóch Miłości przeze mnie
Wierniej kryślisz już przyjemnie;
Czeka twego pobłażenia,
Chociaż trudna do trafienia.
Łatwiej przyszła Miłość Stała,
Boś ty mi ją poznać dała:
Lecz obcą jest Miłość Płocha,
Dla tego, który cię kocha...

Trubadur

31 maja 1808, w Warsz[awie]

Marzenie moje w chorobie Do Haliny

W jednej z tych to nocy,
W której na próżno powieka
Wyglądała snu pomocy,
Co od niej stronił z daleka,
Zwątlon przez długie cierpienie
Patrzałem nieczułym okiem,
Jak śmierć już mdlejące tchnienie
Wolnym przytłumiała krokiem.
Z ciernistej zstępując drogi,
Na której młodość przesnułem,
Choć bez żadnej byłem trwogi,
Jednak żal jeden uczułem,
A żalu tego przyczyną
Była myśl w tej smutnej dobie:
Że nie widząc Cię, Halino,
Przyjdzie w zimnym polec grobie!
Lecz nagle gorączki siła,
Myśl gubiąc w twardym uśpieniu,
Prawdę w niepamięć wtrąciła,
A mnie oddała marzeniu.
Zniknęło cierpienia łożo,
Znikła i boleść na chwilę,
Gdym wznowił snów bezdroże
Uniesionym został mile:
Maj niby drzewa rozwijał,
Trąb wojennych głos chrapliwy
Już się w powietrzu rozbijał
Wróżąc Polsce los szczęśliwy.
Już orły białe Pilicę
I obydwą Wisły brzegi
W swoją zajęły granicę
Wojska licznymi szeregami.
Już Puławy i Sieniawę
Zwycięskim przebyły lotem,
I już Karpaty śniadawe
Groźnym dosięgały grotem...
Szczęśliwszym widziałem siebie,
Niż na tej można być ziemi,
Gdy w Ojczyzny potrzebie,
Walczyć mogłem wraz z drugimi.
A wzięwszy za hasło święte:
M i ł o ś ć, H o n o r i H a l i n ę –
Szedłem na boje zawzięte
Myśląc: «Wślawię się lub zginę!»
Uniesion chciwością sławy

Wpółśród nieprzyjaciół gminu
Chciałem wzniciwszy bój krwawy
Uszczknąć gałązkę wawrzynu.
Zdało mi się w obłąkaniu,
Jak gdybym mieczem przeszyty
Upadał w wolnym konaniu
Już śmiercią na wpół okryty,
Gdy głos luby brzmiały mile
Do uszów moich dochodzi,
Życie wstrzymuje na chwilę
I srogą mękę łagodzi...
Nawet Twoją wdzięczną postać
Z łzami w oczach zobaczyłem!...
O, czemuż w tym błędzie zostać
Na dłużej w stanie nie byłem!
Posłuchaj dalej, szczęśliwe
Zmysłów moich uniesienie,
Lecz wybacz rysy zbyt tkliwe,
Wszakże to tylko marzenie...
Twą ręką drżącą z bojaźni
Wspierałaś mi słabą głowę,
Gdy Twe usta żal przyjaźni
W tkliwszą przemieniały mowę...
Ostatnie tchnienie Halinie
Oddając, o jakże miło,
W tej tak szczęśliwej godzinie
Przy tobie umierać było!!!
 Tu gorączka powoli
Niknąc zmysły przywracała –
Lecz zamiast szczęśliwszej doli
Żałość tylko w duszę lała.
Znikła w jednym mgnieniu oka
Naszej nieszczęsnej Ojczyzny
Granica już tak szeroka,
Znikły także i me blizny.
Zniknęła wiosny przyjemność,
Gdy znikły błędne snów roje,
Z nimi twa tkliwa wzajemność,
A z tą całe szczęście moje!...
 Tak gdy wszystko znikło prawie,
Nader okrutne ocknienie
Zostawiło mi na jawie –
Miłość, smutek i cierpienie.

BŁĘKITNE SOBOTY
zebrane w roku 1808

«A o miłości tylko że gadają...»
Wyjątek z *Gazety Olimpu*

Miłe Soboty! Lube wasze wspomnienie w pamięci i w sercu moim długo trwać będzie!... Przyjaźń i wesołość były waszym początkiem. Dowcip bez przysady i zobopólna chęć podobania się, bez osobistej zazdrości, były przyczyną, żeście przetrwały czas dość długi nieświadome kwasów, nudów i zawiści!

Okoliczności nareszcie zakończyły was –i ja zebrałem w tej książeczce plód waszych zabaw i czułych igraszek, aby mieć na zawsze pamiątkę

O miłych moich Sobotach!

[Maria Wirtemberska]

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Miłość Ojczyzny

Ta, której grzeczność i słodycz, i wdzięki
Zawiera pokój maleńki,
Pragnąc zachęcić poetów ochotę
Wyborny obiad daje im w sobotę
Mówiąc: «Ten jeden zakładam warunek,
Niech każdy jakiś miłości gatunek
Wziąwszy stara się powieść wygotować:
Nie dość zajadać, należy pracować!»
 Posłuszni starsi i młodzi uczeni,
Każdy z[e] swoim Amorkiem w kieszeni,
Każdy, z[e] stołu kiedy zbiorą wety,
Swego Kupida wysławia zalety.
Co więcej, sama nawet gospodyni,
Co honory obiadu i dowcipu czyni,
Czyta powieść swej roboty
Wszystkie Amorków wyliczając psoty.
 Mówi: zbyt ciężko, by którego był szczyry.
Dowodzi, że jak dwa i dwa są cztery,
Iż kiedy każdy zwiedzie lub osławi,
Ten jeszcze najlepszy, co dowcipnie bawi.
 Powieść ta była tak świeża, tak miła,
Tak o swej prawdzie przekonywającą,
Że się wielu nawróciło!
Alić gromadę tym się unoszącą
Nowy obraz zastanawia:
Bawi, rozkwila, w nowy dziw wprawia.
Obraz ten z Puław powieści przysłana –
Czyli ją pędzłem Albana,
Czy piórem z krzydeł Zefira wyrwanym
I potym w tęczy bławatach maczanym –
Kreśliła ręka, zgadnąć było trudno,
Wszystko lubością jaśniało w niej cudną!
 Kiedy ta powieść bawi i unosi,
Kiedy głos Matki łzami lice rosi,
Kiedy tych wszystkich Amorków rodzaje,
Ich ubiór, skłonność, zwyczaj
Ciągami autorka liczy znakomita,
Wszystkich w przyzwoitym wzorze,
Jeden z słuchaczy zapyta:
 «W tym tak dokładnym lubych dzieci zbiorze,
Czemu, jak Przyjaźń u swojego łona,
Poważna jaka matrona
Nie kryje w szacie zagiętej
Miłości Ojczyzny Świętej?
Pierwszej z Miłości mogłaż być zapomna

I dzieła swego uwłoczyć ozdobie?»

«Nie wiesz – rzekł drugi – jak autorka skromna,
Nie chciała mówić o sobie.»

IGNACY NOSARZEWSKI

Miłość i Lenistwo

Kiedy już zbytki i swywole syna
Nadto zmęczyły matkę Kupidyna,
Gdy błędne echo i niebios sklepienia
Jęki wydały za czułe westchnienia,
Iris, posłankę wierną, Cyprys wzywa.
Na tej głos orszak niebianek przybywa.
Przed nimi Wenus swe wynurza smutki,
Oskarża w synie własnych pieszczot skutki:
«Kupido – rzeknie – swywolnymi rączki
Zrywa zarówno kwiat pełny i pączki,
Kiedy z Igraszką puści się w zawody,
Ledwie rumiane podepce jagody.
Chcącego miodu, gdy pszczołka skaleczy,
Rzuca się w złości, przeraźliwie krzyczy.
Łakomiec, zawsze nadużywać skory,
Po tym narzeka, gdy z sytości chory.»

Przychylna rada przyświadcza bez sporu,
Żeby Miłości wybrać straż ze dworu!
Wenus na Stałość wdzięcznie zwraca oczy,
«Stałość niech – mówi – syna mego wiedzie,
Ona się przyda i w szczęściu, i w biedzie.
Z nią z prawej drogi [i] Miłość nie zboczy!»
Na to spokojnie Stałość wyrzekła:
«Nie raz ode mnie już Miłość uciekła.
Nadto się płonnym zapalem uwodzi,
Rzadko się Miłość ze Stałością zgodzi!

Po tym od chwili kiedy Obyczaje,
Cne towarzysze Prostoty,
Wygmane są w obce kraje,
Pilnując Cnoty
Mam dość do roboty!"

Wierność wezwana do usług z kolei
Nie czyni większej bogini nadziei –
Składa się Losem, co śmiertelnych drażni
I na krok nie śmi opuszczać Przyjaźni.

Powaga zbyt surowa zdaje się mistrzyni
I ni ma czasu, bo dla nowych dworów
Musi dostarczać etykiety wzorów.

– Cóż bidna Matka uczyni? –

Roztropność, co prostą drogą prowadzi,
Lenistwu Miłość powierzyć jej radzi!

Gęstymi krzewy w zaciemnionej grocie,
By oczu nie raziły słoneczne promienie,
Żyło Lenistwo w spokojnej ciemności,
Przy nim osiadły: Cichość i Milczenie.

Żadnego uszy jego nie zniosły hałasu,
Ruch tylko ciężki słysząc skrzydeł Czasu.

Tam na węzłowie, w zaniedbanym stroju,
Słodko drzymało na łonie Pokoju.

Skoro została Miłość wprowadzona,
Lenistwo ją przytula do swojego łona.
Zrazu Dziecinie było nieco nudno,
Lecz pieścizom Lenistwa jak się oprzyć trudno!
Sen zajął chwile poświęcone Pysze,
Lubość na kwiatach Miłość kołysze.
Miętkość stępiła zapał, spokojnie nabyte
Rozkosze ostudziły żądze pracowite.
Odtąd Miłość już lubi domowe zagrody,
Cichość, spokojność, wygody!

Kiedy do matki dziecię się wróciło,
Wszyscy wołali: «Ach, jakże utyło!»

IGNACY NOSARZEWSKI
Miłość i Wabność

Zwiedziona Miłość płonnymi zaloty
Wabnej Róży i Motyla
Wypuściła na nie groty.
 Motyl płochy ulata, Róża się nachyla
Chroniąc krasne wdziękiem czoło.
A potym zaraz wesoło,
Swizsza, próżniejsza wśród kwiatów się wznosi!
 Bożek, co nie zna oporu,
W gniewie srogi wyrok głosi:
 Motyl wygnany z pięknej Cyprys dworu,
A lekki – w poziomego zmieniony robaka!
 A dla Róży kara jaka?
Póki Róża Różą będzie
– Róża, wabnych piękności obraz i narzędzie –
Samej się tylko Próżności przyda
I nigdy Szczęścia owocu nie wyda.

JÓZEF LIPIŃSKI

Miłość i Obojętność

Jeden z poetów za to był wygnany,
Że głosił plotki, co robią niebiany,
Więc ja tu skromnie niektóre wyliczę
I w żadną z bogiń honoru nie tyczę.
W Olimpie na karnawał bogi zgromadzone
W spaniałych Jowisza salach,
A u Junony, na dworskich balach,
Boginie trochę znudzone
Chciały, ażeby wesola i suta
Była dla bogów reduta.
Tam wszystkie razem stany,
Lud niebian mnogi,
Bogi, półbogi,
A każdy miał być przebrany.
Sam Jowisz, co nie nowina,
Złożył dumę dla zabawy,
Juno zajzdrośna i Wulkan ciekawy,
By doszedł intryg matki Kupidyna.
Boginie także zręcznie się przebrały:
Wabność Czułości pożyczyła stroju,
Mars, choć na chwilę, wziął maskę Pokoju,
Gracyje, gdyby Jędze wyglądały!
Obojętność z Miłością, by nie znane zostać,
Nawzajem swoją odmieniły postać.
Miłość się z sobą okazała sprzeczna,
Zimna, chociaż grzeczna,
Wzięła umyślnie ton nieco hardy
I niby nieco pogardy!
Obojętności była tkliwa mowa,
Pełne słodczy słowa.
– Lecz to najprędzej zdradza:
Kto udaje, ten przesadza. –
Miłości wszędy szukano,
Ale obie niedługo odkryte zostały:
Miłość – oczy wydały,
A Obojętność – po głosie poznano.

JÓZEF LIPIŃSKI

Miłość i Zazdrość

Mówią, że Miłość niewinna, wspaniała,
Zawiść zdradliwą spotkała
W brzydkiej postaci okropnego węża.
Natychmiast bożek wznosząc grot swój dzielny,
Grot, którym wszystko zwycięża,
Srogiej potworze zmierza raz śmiertelny!
Zwija się Zawiść ledwo skaleczona,
Ale strzała Miłości jadem napuszczona
Często, gdy w serce ugodzi,
Wraz z Czułością Zawiść rodzi.

JÓZEF LIPIŃSKI

Miłość i Przyjaźń

Matka Kupidyna (mamy o tym pewne
Od dziejopisów Cytery podanie)
Wzięła na wychowanie
Bliską Miłości krewnę,
Tak dla zabawy pieszczonemu syna,
Jak żeby Kupidyna
Wprawić do nauk przez wspólną ochotę –
Przyjaźnią zwano sierotę.

 Z źle dobranego małżeństwa spłodzona
Rodziców miała: Przeciwność i Cnotę.
Siostra Piękności rodzona
Była dziecina miła i nadobna,
Tkliwa i razem wesoła,
I trochę z brwi i z czoła
Do swego kuzyna podobna!
I chociaż ten ją prznosił w urodzie,
Żyli z sobą w wielkiej zgodzie.

 Lecz od ludzi, od matki panicz rozpieszczony
Biegał i na wszystkie strony
Swoje ostre ciskał strzały
(Osobliwą miał ochotę
Każdemu wyrządzić psotę).

 Siostra na to cierpiała, a gdy przez swawole
Sprawił komu ciężkie bole,
Aby skarga nie urosła
Zaraz pociechę niosła:

 Koi, przeprasza, pieści,
A dla ulżenia boleści,
Lub w ogrodzie, lub na łące
Ziółka swą ręką zbierane
Albo balsamy gojące
Na bolesną kładzie ranę.

 Po czym poważnie brata napomina,
Przekłada mękę jak sprawia niezmierną
Przez swą złośliwą zabawę!
Ten się smuci i zaklina,
I obiecuje poprawę.
Przyjaźń, zawsze łatwowierna,
Rozumiała, iż z wiekiem i swoimi rady
Poprawi Miłości wady.
Lecz cóż chłopca złość uleczy?
Płacze, przeprasza, kaleczy!

 Trafiło się, iż do gaju
Idąc dla zwykłej igraszki
Na wiosnę strzelać ptaszki,

A według zwyczaju
Bez uwagi rzucając swoje strzały ostre,
Nieostróżnie ranił siostrę,
Przełęczony, błagający,
Pada błady na kolana,
Przeprasza, że to niechcący.
A widząc, jak sroga rana,
Pieści i całuje ręce
I ażeby ulżyć męce,
Dmucha na ranę powoli.
Przyjaźń tkliwa, ale cicha,
Przebacza jego swawoli.
Spokojnie się uśmiecha:
«To, bracie – rzekła – nie boli.»

JAN MAKSYMILIAN FREDRO

Miłość i Obojętność

Gdy rzuciła Wenera niebianów siedliska,
Olimp, z którego Jowisz groźny piorun ciska
Dla lubej sobie Cytery,
I gdy wonne raz gaje i ciemne chłodniki,
I wdzięcznie jej mrużące zwiedzała strumyki,
Kupidyn czułym głosem tak rzekł do Wenery:
«Matko, pociesz twego syna,
Może twe pieścizny lube
Sprawią tego smutku zgubę,
Który dręczy Kupidyna!
Na niczym mi tu nie zbywa,
Wszystkim ręka moja włada:
Czyli to nimfa wstydliva,
Czy ziemianka, czy dryjada,
Każda czuły hołd mi składa.
Jednak przyznam ci się szczerze,
Że nic mię teraz nie bawi w Cyterze!
Za mocne są kwiatów wonie,
Słabnę na Rozkoszy łonie.
Nadzieja, nie wiem, dla jakiej przyczyny,
Zawsze błędnymi wodzi mnie drożyny.
Szaleństwo nawet, coś przed kilką dniami
Dla mej dodała igraszki,
Sprzykrzonymi tylko fraszki
Oczy moje teraz mami.
Jeśli mi co nie poradzisz,
To mnie ty sama z tego świata zgładzisz.»
Nadobna Cytorea pogłaskawszy dzię
I uśmiechnawszy się mile
Obiecuje znaleźć przecie
Ulgę dla niego za chwilę.
Natychmiast z dworzan wielką radę składa,
Na której sama z Wdziękami zasiada.
Každy w tak naglej potrzebie,
Chcąc woli pani dogodzić,
Szuka na ziemi i w niebie,
Czym by dzię ułagodzić!
Gdy Rozsądek, co w tej porze
Przypadkiem się znajdował na Wenery dworze,
W krótkich i zwięzłych słowach tej radzie podaje,
Aby Kupida w obce wysłać kraje.
O los Miłości matka bojaźliwa
Lęka się samę puścić w niepewne podroże
I dlatego powtórnie wszystkich rady wzywa;

Która (raz ten pierwszy może)
Powtórnie za Rozsądkiem jednostajnie była.
Dla czulej Matki był to cios zbyt srogi,
Lecz na koniec, choć z żalem, sama pozwoliła
Wszystko ułożyć do drogi.
Miłość odmiany nadzieją
Dawną wesołość przybiera,
Mile pieszcząc Cytereję
Spod oka płocho poziera,
Jak Śmiechów i Zabaw roje
Ostrzą bystre jego strzały,
Jak się słodkie Niepokoje
I Wdzięków już orszak cały
Bujając z kąta do kąta
Do drogi wspólnie zakrzęta.

Rozkosz, ostatni krzak róży
Oberwawszy z pączków w kwiecie,
Dodawszy trochę i kwiatu,
Ściele wózek do podróży,
Na którym te lube dziecię
Miało się pokazać światu.
W bliskim gaju, na jaśminie,
Co wietrzyk kołysał mile,
Szaleństwo ukryte w trzcinie
Zobaczyło dwa motyle,
Które skrzydełka maczane
Purpurą, lazurem, złotem
Grzały słońcem na przemianę.

Natychmiast jednym polotem,
W Szaleństwa sidła pojmane
I w tak letki szor okryte,
Że przed okiem znika prawie,
Miały w tej ważnej wyprawie
Wieść to dziecię znakomite.
Kupido, gdy wszystko ujrzał już gotowe,
Po trzykroć ściska piękności królowę,
Potym wskakując z lekka na swój wózek złoty
Niecierpliwie porywa lic z Szaleństwa dłoni
I w jednym mgnieniu oka w powietrznej pogoni,
Kierując śmiałą ręką bystrymi obroty,
W niebieskie pędzi przestrzenie
Zostawując w Cyterze żalność i westchnienie.
Pobujawszy w różne strony
Najprzód świetne niebianów odwiedza schronienie,
Potym na ziemskie spuszcza się zagony,
Różne mija krainy, różne zwiedza dwory,
Różne w podróży spotyka i pory,
Lecz wszędzie będąc zarówno wielbiony

Wszędzie mija motylów kwapiąc polot skory!
Na koniec, przez nieszczęsnej Polski pędząc niwy,
Gdy na swym wózku z trudów,
A może i nudów,
Drzymać zaczynał leniwy,
Nagle na pysznym Wisły ujrzał żyznym brzegu
Kształtną budowę, która z okręgu topoli
Zdawała się do oka przedzierać powoli.
Natychmiast tu do noclegu
Miejsce dla siebie oznacza,
Z zamierzonej drogi zbacza
I wsuwając się blisko
Tego cichego schronienia,
Nieświadom, jak się płocho zbliżał do cierpienia,
Gdyż Obojętność swoje tu miała siedlisko,
Którą nic nie ucieszy ani tyż zatrwoży,
Czy się wiosna uśmiecha, czyli zima sroży.
Ledwie co ten poczet młody
Stanął, by szukać ochłody,
Gdy ujrzał Obojętność w nadobnej postawie,
Która błędząc nawiasem po miękkiej murawie
Stawiała kroki niedbałe,
Kryjąc czarnymi warkoczy
Barki i szyję swe białe.
Gdy mija Kupidyna nie zwróciwszy oczy,
On, chcąc ukarać zuchwałę,
Za ostrą porywa strzałę.
Z tęgiej cięciwy się składa
I grot swój puszcza dotąd niewstrzymany,
Lecz ten przytępiony pada.
Zdziwion z tak nagłej odmiany
Coraz nowe bierze strzały
Łamiąc z gniewem nierażące.
Lecz próżno na nią grotów wyrzuca tysiące,
Wszystkie – jak pierwszy – ten sam skutek miały.
Kupido, bezskuteczne widząc groty swoje,
Sam Obojętność spieszonym ściga krokiem
Prosząc, by się wstrzymała, łzów wylewa zdroje,
Ale ta zimnym nawet nie patrząc nań okiem
Za nieprzebyte uchodzi podwoje.
Pierwszy raz w życiu chłopczyna pieszczony
Będąc wzgardzony
Na swe groty przyczynę składa tej niedoli
I natychmiast Zefirom trzymającym strażę
Na poblížniej topoli
Lecieć po nowe strzały do Cytery każe.
Sam – noc całą u podwoi
Bez snu i spoczynku stoi.
Ledwie pierwsze dnia promienie
Nocne rozpędziły cienie,

Gdy widzi pocisków pęki,
 Co Śmiechy, Gry płóche i Wdzięki
 U nóg jego kładą w stosy,
 Mile pogładając na nie
 Myśli, że Przeciwnie Losy
 I Obojętność nawet zwalczyć będzie w stanie.
 Gdy się tymi myśli bawi,
 Przed nim się nagle Obojętność stawi!
 Równie jak wczoraj mija go niedbale
 Nie uważając nań wcale.
 Próżno Kupido na przemianę grotów
 I tkliwych nawet używa pieszczotów,
 Czy się do niej uśmiecha, czy prosi, czy skacze,
 Rozpacz jego i płacze
 Nic ją poruszyć nie zdoła;
 W tych ustawicznych walkach, a zawsze ze stratą,
 Kupido już całe przepędził lato.
 Już go rzuciła i Płochosć wesola,
 I szaleństwo wzgardzone opodal się kryje,
 A na koniec do Cytery cały dwór odsyła.
 Z jedną Stałością teraz tylko żyje,
 Z Stałością, która za nim najpóźniej przybyła!
 Gdy do Wenery Wieść doniosła płocha,
 Że nieszczęśliwie Kupido się kocha,
 I że tam chce zakończyć sprzykrzone swe życie,
 Jeśli Obojętność nie będzie dlań tkliwa,
 By ratować swoje dziecię,
 W podróż się puszcza Wenera troskliwa!
 Ujrawszy matkę łzów pełne źrzenice
 Błysk radości wydały,
 A poblądłe jego lice
 Zarumienił uśmiech mały,
 Lecz gdy matka i przez groźby,
 I przez tkliwe nawet prośby
 Nic nad synem nie wskórała,
 Litość na pomoc wezwała.
 Ta różne najprzód przybiera postawy,
 Lecz niczym nie ukojone
 Dziecię gasnąc wszystkie traciło swe powaby.
 Na koniec doradza, aby
 Od Przyjaźni wziąć zasłonę,
 Która w sąsiedztwie mieszkała.
 Po wielu trudach Litość dokazała
 Obojętność nieczułą i zimną nakłonić —
 Na chwilę się welumem Przyjaźni zasłonić!
 I w ten sposób ozdobioną
 Przed wzrok Kupida nagle przedstawiono!
 Gdy na Obojętności tkliwe ujrzał wdzięki
 Stracił pamięć swojej męki,
 A z obfitych łez potoku

Jedną łzę tylko zostawując w oku
Rzeknie tuląc się na swej matki łono:
«Ach! Mniej nieszczęśliwym Kupidyn jest pono!»
Czy istotnie szczęśliwszym biedny był chłopczyna,
Niech o tym sędzi Halina!

IGNACY NOSARZEWSKI

Miłość i przeszkody

Błądząc po gaju mirtowym
Spotkałem Miłość pieszczoną,
Na wiosny tronie majowym
W wonnych fijałkach uśpioną.
 Łuk bez cięciwy, połamane strzały
 Spostrzegłszy, wdziękom przyglądam się śmiały
 W tym Zefir, upał co południa studził,
 Wstrząsł skrzydełkami i Miłość obudził.
Gdy na mię spojrzysz, nie śmiem stąpić kroku.
Któż nie doświadczył Miłości uroku?
Lecz ona rzekła: «Nie bądź tak trwożliwy,
Nie tak jak dawniej Kupido straszliwy!
 Przedtym on czczony przez wszystkie narody,
 Dziś same tylko spotyka przeszkody.
 Pokruszył Zbytek dzielne niegdyś groty,
 Uciekły Śmiechy, Swywole, Pieszczoty.
Dziś Wdzięków stała Miłość nie ubodzie,
Bo Wdzięki samej stałe tylko modzie!
Waleczna młodzież, co wiernie kochała,
Święte zakony wierności zdeptała.
 Próżność zgasiła w sercach ogień tkliwy,
 Mało kto szczęścia, każdy złota chciwy!
 Do tego Rozum, co nic nie przebacza,
 Tkliwe westchnienia w żarty przeistacza.
Jego to płody młoda piękność czyta,
Biegnie za widmem, cień za prawdę chwyta.
I nim Pasterka spotka Bohatera,
Czas traci i z kwiatów wiosnę obiera!
 Znasz te, co o mnie dowcipnie gadają,
 Powiedz: kochane, czy kogo kochają?
 Czy przy ognisku, co ten dowcip rodzi,
 I czas, i Miłość z dymem nie uchodzi?»

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Miłość i Wabność

Lubo przyjętym na świecie mniemaniem,
Że wyspa Pafos jest bardzo zabawną,
Że tchnie woniami, brzmi wdzięcznym śpiewaniem,
I z samych rozkosz jest sławną!

Mnie jednak wieści doszły o tym sprzeczne,
To jest, że Kupid, nimfy nawet płocze,
Czasami nudzą się trochę.
Kto to powiedział, niechaj damy grzeczne
Nie chcą się pytać, mimo ich oporu
Nie powiem, bom dał me słowo honoru.
– Czemuż koniecznie, skąd to wszystko, śledzić,
Nie dośćże samą rzecz wiedzieć? –

Na wyspie Pafos, między ciemnym gajem,
Jużem to wprzód powiedział,
Jak sułtan swoim otoczony serajem
Wśród nimf nadobnych Kupidynek siedział.
Hoże dziewice, ozdobnie przybrane,
Szczyrze do swego bożka przywiązane,
Na to swe myśli jedynie siliły,
Jakby zepsutą chłopczynę bawiły.
Lecz próżno w tańcach ruchem pełnym wdzięku
Zmiały trawkę nóżkami drobnymi,
Próżno do lutni jęczącego dźwięku
Łączyły chory pienia dobranymi.
Na próżno Dowcip, Wesołość szczęśliwa
I hoża Piękność, Płochłość szczebiotliwa
Szukały, co by bożka rozerwało,
Rzadko się kiedy której z nich udało.
– Równie dla bogów, jako tyż dla ludzi,
Trudno jest bawić tego, co się nudzi. –

Nieraz, gdy Echa śmichy powtarzały
Któż by się tego spodziewał! –
On, na to wszystko niedbały,
Zadarłszy główkę poziewał.
W tak smutnej rzeczy postaci,
Wabność, co razem jest piękna i ładna
Zawsze ponętna, często bardzo zdradna,
I nigdy głowy nie traci,
Niby to nową wymyśla zabawę:
«Idźmy – rzecze – na murawę,
Tam lepiej niż w tej sali
W ślepą babkę będziemy grali!»
Komu sytości choroba
Wykwintną rozkosz obojętną czyni,

Temu się czasem i fraszka podoba. –
Kupidyn na myśl bogin
Chętnie zezwala i wraz z całym gronem
Zaczyna płaść na smugu zielonym
Bardziej niż kiedy wesół i ochoczy!
Nie trzeba było zawiązywać oczy,
Bo miał związane. Już boginie hoże
Rozprószyły się między jaśminy i roże.
Każda z nich suwa jak łania,
On się za nimi ugania.
Kręci się wkoło, a w kuźdym ruszeniu,
Trzęsie się kołczyn na małym ramieniu.
Znużony biegiem skrzydełka rozwija,
Miga się szparko na powietrzach czystych
Lub się kryjąc po krzakach bzów kwiecistych
Te skrzydłem dotknie, owe zręcznie mija.
 Nie słychać, jak krzyk i śmiechy!
 Wśród tych gonitw i uciechy
 Zważano z boku, że Czulość lekliwa,
 Kiedy się za krzak mirtowy ukryła,
Przeciwnie Wabność, płocha i łudzająca,
Wysuwa się i sama bożkowi natrąca!
Nie dziw więc, że ją Kupid złapał snadnie.
I gdy się nimfa wstydem niby kryje,
Inne Kupida pytają wesoło –
Którą z nich złapał, czyli imię zgadnie?
On, nie słuchając uczepion za szyję,
Całuje usta i lice, i czoło,
Lecz nic nie mówi! Aż Wabność zdradliwa
«Nie znasz mię – woła – jam jest Czulość tkliwa!»
 Chłopczyna na to rzecze jej z uśmiechem:
«Dla ciebie zwodzić nie jest więcej grzychem.
Wiem ja, kto jesteś, masz pewne znamiona,
Choć ślepy, znam cię, i z twarzy, i z łona.
Szczyrym westchnieniem pierś się twa nie wznosi
Ani łza rzewna jagody nie zrosi,
A zimne serce [z] skłonnościami zgodnie
Nie bije silnie, lecz chodzi wygodnie.
Można się z tobą pośmiać i zabawić,
Ale z Czulością lepiej życie trawić.»

IZABELA CZARTORYSKA

Les Amours

Un de ces jours j'allois au temple de mémoire; je m'y arêtois longtems, mon coeur y retrouve encore une Patrie! Au bout de quelques heures j'en sors, et mes yeux se fixent avec étonnement sur une multitude d'enfans qui en garnissoient toutes les marches et tous les alentours! C'est des orphelins – me dis-je. – Ils demandent soins et secours – mon coeur ne résista jamais à cet âge,

Ou l'Enfant – emblème de la jeune saison
Gai comme Zéphyr, frais comme l'Aurore
Des couleurs du printems en jouant se colore.

Je m'approche, ils me tendent les mains, d'autres se cachent, plusieurs ont l'air de bouder! Etonnée de leur beauté, je veux les interroger, mais ils parlent à la fois et je ne puis les comprendre: un bruit semblable à une volée d'oiseaux qui se précipitent entre le feuillage d'un arbre touffu augmentoit la difficulté! J'examine de plus pres, j'aperçois sous leurs vêtements légers des ailes de différentes couleurs qu'ils agitoient sans cesse et dans les boucles argentées de leurs blondes chevelures des bandeaux plus brillants que l'arc-en-ciel! Quoi – me dis-je en moi-même – que viennent-ils me raconter, à mon âge ils devraient m'avoir oubliée! Je me doutois déjà que cette jolie troupe n'était que des amours!

Je m'adresse à celui qui semblait le maître des autres, et lui demandois l'explication de cette étrange visite! – Je suis l'Amour – me dit-il. – Je le vois bien – lui répondis-je. – Cette foule, qui se précipite sur mes pas – continua-t-il – ce sont mes frères: d'abord je fus unique, et l'on se disait, il fut, il est, il sera toujours le même; le bonheur et l'amitié me sourioient alors! L'Espérance effieuroit les sentiers que je parcourois, laissant une trace légère, que je suivois avec confiance! Je la fixais quelquefois, et de son haleine douce bet parfumée elle redonnoit de la fraîcheur aux couleurs brillantes de mes ailes et de mon bandeau! Mais voyez comme le monde est étrange! Ce que je croyois faire pour le bonheur de l'univers, deyient bientôt la source de l'ennui! Ma constance parut monotone, on me désira autre que moi et chacun m'habilla à sa guise. L'Espérance même devient fugitive, elle me quittoit sans cesse, m'attrapoit souvent et puis se perdoit dans le vague des airs! Je m'en plaignis à ma mère, mais je ne fus pas compris: plus jalouse de sa beauté que de mon empire, elle lança d'un souffie tous ces amours, qui vaguent à présent à tort et à travers sur ce vaste univers! Chacun de mes frères a un autre genre de séduction: Vénus leur partagea ses grâces, sa ceinture et ses défauts. Voyez celui qui tape des pieds et des mains – c'est l'amour exigeant; celui qui boude dans ce coin – c'est l'amour difficile, il n'est jamais content; le tout petit qui s'est fait un lit de fleurs sous ces lions cruels, c'est l'amour enfant gâté – il est insupportable! Le furibond qui aiguise son poignard c'est l'amour jaloux, je ne le conseille à personne! Cette petite tête si gentille qui sourit entre les roses, c'est l'amour affectueux et celui qui joue avec des papillons, c'est l'amour incons – tant; cet autre qui caresse ce grand chien, c'est l'amour fidele; celui qui s'est campe sur la poutre c'est l'amour fantasque! En voilà un qui pleure en s'essuyant les yeux de son bandeau, c'est de tous mes frères le plus mélancolique, celui qui mesure la profondeur du précipice en y jetant son arc et son flambeau, c'est l'amour désespéré! Celui qui le retient de ses petites mains, c'est l'amour qui tient à l'espérance – elle l'a paré de ses couleurs et ce bandeau vert sied si bien a ses cheveux blonds! Celui qui se détourne et ne vous regarde pas, c'est l'amour perfide, ses cheveux lui couvrent les yeux et son bandeau est noirci par la fumée de son flambeau toujours agité. Voyez le tout petit qui veut entrouvrir les portes du temple, il grimpe sur le faisceau d'armes pour y atteindre, c'est de tous mes compagnons le plus glorieux. Celui qui joue sur la corniche du temple avec les Pans, c'est l'amour dont la gaité con-

stante fait le charme enchanteur; en voyez-vous un derrière les colonnes qui se mire sans cesse, c'est l'amour coquet et fripon; le petit qui tient son doigt de roses sur ses lèvres vermeilles, c'est l'amour discret; le blondin à genoux tendant ses mains vers le ciel, c'est l'amour respectant, et celui dont la mine chiffonnée est ensevelie dans le capuchon, c'est l'amour qu'est-ceur. Le petit échevelé avec ses vêtements déchirés, c'est l'amour vagabond (au demeurant un assez mauvais sujet). Celui qui se cache derrière ces lilas, c'est l'amour espiègle, il nous vole souvent nos flûtes et nos flambeaux, et c'est alors qu'il arrive de beaux galimatias! Comme j'avancois la tête pour le voir, j'aperçus une femme charmante, qui tenait un amour caché dans les plis de sa robe de neige. Je la pris pour Vénus, ensuite je crus que c'était Hébé! – Non – me dit mon petit harangueur – c'est l'Amitié, ce fripon s'est jeté dans ses bras, et il ne se présente jamais que sous son nom. – J'étais émerveillée et ne concevois pas ce qui pouvoit avoir rassemble ces êtres charmants aux pieds de ce temple où le temps efface tout ce qui tient à l'inconstance! – Egares sans doute vous demandez un guide – leur dis-je – mais ce n'est pas à mon âge, qu'on peut vous servir! – Non – dit le chef de la troupe en tapant du pied contre la paroi du temple – c'est un mystère que nous cherchons à dévoiler! Voici le fait en quatre mots – continuait-il en écartant son bandeau. – La nature nous est soumise, mais votre filie regimbe. Chacun de nous a voulu vaincre cet être brave, mais rien ne réussit: l'amour coquet l'a amusé, l'a fait rire, l'amour sous le nom de l'amitié fixa en passant ses regards, mais bientôt on les mit à la porte et voilà qui se joue de nos efforts! On dit que vous savez son secret, nous sommes venus pour l'apprendre! – Ah – répondis-je – on ne pénètre pas aisément le cœur d'une femme! Que sais-je si je devine, mais voilà ce que j'ai aperçu et ce que je vais vous confier sous le sceau du secret – jurez donc jamais le divulger! – ils fléchirent les genoux et jurèrent en souriant ce qu'ils n'avait pas envie de tenir; je le vis bien, et voilà pourquoi j'en parle aussi.

Depuis que je connais Marie, je n'ai vu qu'un seul amour qui ne l'a jamais quittée, un amour à qui elle donne ses soins les plus tendres, les plus constants, les plus délicats! Un amour qui n'a varié, un amour dont le charme se repand sur tous les moments! – La petite troupe se serrait contre moi, incertains, ils attendoient avec avidité le mot de l'énigme! – C'est l'amour de son heureuse Mère – dis-je à la fin. – Il l'inspire, il ne l'a quittée jamais! Mon bonheur et ma reconnaissance en sont les fruits. Cet amour ne vous ressemble qu'é – ajoutai-je encore – mais il a des charmes que rien ne peut remplacer. Ici la compagnie ailée s'branla, ces jolis petits visages prirent différentes impressions, je les vis s'élaner dans les airs presque tous mécontents! L'amour sous le nom de l'amitié sourit un peu, mais suivit aussi ses frères! Et moi ramassant les débris des jouets de tous ces enfants, j'en fis un trophée, que je portait au temple, pour me rappeler toujours, oui, toujours, l'amour préféré de Marie.

Dans les derniers jours du mois de janvier un beau soleil éclairait une belle matinée. L'air était pure et calme, la terre couverte de neige sembloit parsemée de diamants; il était à l'ordre du jour de la mode de faire des promenades tous les matins et ce jour-là l'Amour avoit obtenu la permission de mener en trameaux la Timidité et l'Indifférence; celle-ci ne craignant ni de se hâler, ni de se refroidir était légèrement vêtue et n'ayant rien sur sa tête laissoit voir sa belle, blonde, blanche et froide figure. La Timidité...

IZABELA CZARTORYSKA

Amorki

Wybrałam się któregoś dnia do Świątyni Pamięci, przebywałam tam długo. Moje serce znajduje tu jeszcze Ojczyznę! – Po paru godzinach wychodzę i mój zdumiony wzrok pada na rzeszę dzieci, które zdobią jej stopnie i pobliza!

To sieroty – pomyślałam. – Proszą mnie o wsparcie i pomoc. Moje serce nie pozostaje nigdy obojętne na ten wiek,

Kiedy Dziecko – symbol wiosennej pory,
Wesołe jak Zefir, świeże jak Jutrzenka,
Co igrając barwi się kolorami wiosny.

Zbliżam się, jedne wyciągają do mnie ręce, inne się chowają, wiele zdaje się boczyć! Zdumiona ich urodą chcę je zagadnąć, ale wszystkie mówią naraz i nie mogę ich zrozumieć: hałas, przypominający świergot stada ptaków spadających między liście gęstego drzewa, powiększa trudność. Przyglądam się im bliżej i spostrzegam pod ich leciutkimi szatkami różnokolorowe skrzydła, którymi poruszają nieustannie, a w srebrzystych lokach ich jasnych włosów przepaski lśniące bardziej od tęczy!

– A cóż one zamierzają mi tu bajać – rzekłam sama do siebie. – Jestem w tym wieku, że już powinny o mnie zapomnieć! – Domyśliłam się już, że ta śliczna gromadka to amorki!

Zwracam się do tego, który zdawał się być panem innych i proszę go o wyjaśnienie tej dziwnej wizyty.

– Jestem Amorem – rzekł do mnie.

– Widzę to doskonale – odparłam.

– A ta podążająca za mną gromada – mówił on dalej – to moi bracia. Najpierw byłem jedynakiem i mówiono wtedy: był, jest i będzie zawsze taki sam; Szczęście i Przyjaźń uśmiechały się do mnie wówczas! Nadzieja muskała ścieżki pozostawiając ślad leciutki – przebiegałem je z ufnością. Wpatrywałem się w nią chwilami, a ona swoim słodkim, wonnym oddechem przydawała świeżości moim skrzydłom i przepasce iskrzącym się od kolorów. Ale niech pani sama zobaczy, jaki świat jest dziwny! To, co robiłem, jak mi się zdawało, dla szczęścia wszystkich, stało się niebawem źródłem nudy. Moja stałość wydała się monotonna, chciano we mnie widzieć kogoś innego i każdy przebierał mnie według swojego upodobania. Nadzieja nawet stała się ulotna, opuszczała mnie ciągle, to znów przybliżała się, po czym rozplywała się w mglistej przestrzeni. Poskarżyłem się na nią mojej matce, ale nie znalazłem zrozumienia. Bardziej zazdrosna o swoją piękność, niż dbała o moją władzę, jednym swoim tchnieniem wydała na świat wszystkie te amorki, które krążą teraz bezładnie w przestworzach.

Każdy z moich braci ma odmienny powab. Wenus rozdzieliła wśród nich swoje wdzięki, swoją przepaskę i swoje wady. Spójrz na tego, który wymachuje rękami i nogami – to Amor Wymagający; ten, co boczy się w kącie – to Miłość Trudna, nigdy nie rada; ten malutki, który usnął sobie kwietne łoże pod tymi straszliwymi lwami – to Rozpieszczone Dziecię – jest nieznośny! Szalenie ostrzący sztylet – to Miłość Zazdrosna, nie zalecam jej nikomu! Owa mała główka, tak miła, która uśmiecha się między różami, to Miłość Serdeczna, a ten, co igra z motylami, to Amor Płochy. Ten zaś, co głaszcze wielkiego psa – to Amor Wierny; natomiast ten, co usadowił się na belce, to Amor Chimeryczny. I oto jeden, co płacze, ocierając sobie łzy przepaską – to najbardziej melancholijny z moich braci. Amor, badający głębię przepaści i ciskający tam swój łuk i pochodnię, to Miłość Zdesperowana! Ów zaś, co przytrzymuje go

rączkami, to Amor, który chwyta się Nadziei – ustroiła go ona w swoje barwy, zielona przepaska tak pięknie pasuje do jego jasnych włosów! Ten, co odwraca się i na nikogo nie patrzy, to Amor Przewrotny. Włosy zasłaniają mu oczy, a przepaska poczerniała jest od dymu pochodni, którą wciąż wymachuje. Spójrz, proszę, na tego malca, który chce otworzyć drzwi Świątyni i wdrapał się na kozioł z bronią, aby ich dosięgnąć: to z moich towarzyszy najbardziej żądny chwały. Ten zaś, co igra na gzymsie z faunami, to Amor, którego ustawiczna wesołość czaruje uwodzicielsko. A czy widzisz tego, który za kolumnami stale się przegląda? To Amor Zalotny i szelmowski. Malec, który trzyma różany paluszek przy karminowych wargach – to Amor Dyskretny. Blondyn na klęczkach, wyciągający ręce ku niebu, to amor pełen respektu, a ten, który skrywa zmiętą twarz w kapturze to Amor Kwestarz. Mały rozczochniec w podartej odzieży to Amor Wagabunda (ladaco zresztą). Ten, który chowa się za tymi bzami, jest Amorem Figlarnym – kradnie nam często flety i pochodnie i wtedy powstaje piękny galimatias!

A że wyciągnęłam szyję, by go zobaczyć, spostrzegłam uroczą kobietę, osłaniającą w fałdach śnieżnej szaty małego Amora.

Wzięłam ją za Wenus, po czym doszłam do przekonania, że to Hebe.

– Nie – powiedział mój mały gaduła – to Przyjaźń, a ten mały łotrzyk, który rzucił się jej w ramiona, występuje wyłącznie pod jej imieniem.

Byłam oczarowana i nie pojmowałam, co mogło skłonić te urocze istoty, by zbiegły się u stóp Świątyni, gdzie Czas zamazuje wszystko, co niestałe!

– Zabłąkaliście się z pewnością i prosicie o przewodnika – powiedziałam do nich – ale w moim wieku niepodobna mi wam służyć!

– Nie – powiedział przywódca gromadki kopiąc nogą w ścianę Świątyni. – Chcemy wyświetlić pewną tajemnicę. Oto cała prawda w paru słowach – powiedział zsuwając przepaskę. – Natura jest nam posłuszna, ale twoja córka staje okoniem. Każdy z nas chciał pokonać tę dzielną istotę, ale na nic nie zdały się wysiłki: Miłość Płocha zabawiała ją, pobudziła do śmiechu. Miłość pod mianem Przyjaźni przyciągnęła mimochodem jej spojrzenia, ale wkrótce wyrzucono ją za drzwi, i tak oto rozprawiła się z naszymi usiłowaniami. Podobno znasz jej sekret, przyszedliśmy tu, żeby się go dowiedzieć!

– Ach – odparłam – nie tak łatwo przeniknąć serce kobiety! Nie wiem, czy słusznie odgaduję, ale powiem, com spostrzegła, zawierzę wam sekret pod pieczęcią tajemnicy: przysięgnijcie, że nigdy go nie wyjawicie!

Zgięli kolana i z uśmiechem przyrzekli to, czego nie zamierzali bynajmniej dotrzymać (spostrzegłam to i dlatego o tym również wspominam).

– Od chwili, kiedy poznałam Marię, widzę tylko jedną miłość, która jej nigdy nie opuściła, miłość, którą otacza najczulszym, najtrwalszym, najdelikatniejszym staraniem! Miłość, która się nigdy nie odmienia, miłość, której czar spowija każdą chwilę!

Mała gromadka tuliła się do mnie: oczekiwali w niepewności rozwiązania zagadki.

– To miłość do jej szczęśliwej matki – powiedziałam na koniec. – Ona ją ożywia i nigdy nie opuszcza. Moje szczęście i moja wdzięczność są jej owocami! Ta miłość nie przypomina was wcale – dorzuciłam jeszcze – ale posiada uroki, których zastąpić nie sposób.

W tej chwili skrzydlaty rój ruszył z miejsca, śliczne twarzyczki wyrażały różne uczucia i zobaczyłam, jak Amory wzbily się w powietrze prawie wszystkie niekontente! Amor pod mianem Przyjaźni uśmiechnął się lekko, ale podążył za swoimi braćmi! A ja pozbierałam szczątki zabawek tych dzieci, ułożyłam z tego trofeum i zaniiosłam je do Świątyni, żeby zawsze, tak, zawsze, pamiętać o przedkładanej nad wszystko miłości Marii.

W ostatnich dniach stycznia piękne słońce świeciło pięknym rankiem. Powietrze było spokojne i czyste, ziemia okryta śniegiem zdawała się być przysypana brylantami. Podług ówczesnej mody należało każdego ranka odbyć przechadzkę i tego dnia Miłość otrzymała ze-

zwolenie, by zabrać ze sobą sankami Nieśmiałość i Obojętność: ta ostatnia nie obawiając się, że się opali albo zmarznie, była lekko odziana i nie włożywszy nic na głowę ukazywał swoją piękną, mleczną, białą i zimną twarz. Nieśmiałość...

(Redakcja tekstu francuskiego i przekład polski Izabeli Rogozińskiej.)

TADEUSZ MATUSZEWICZ

Miłość i Smutek

Smutek pod jaskini cieniem,
Kiedy samotny łyżę leje,
Gorszkim żegnając westchnieniem
Ulatującą Nadzieję,
W ciężkim żalu i tęsknocie
Całkowicie zanurzony
Nie postrzegł, jak w cichym locie,
Dążąc w nadwiślańskie strony,
Zbliżył się ów bożek mały,
Co mu hołduje świat cały!
 Bożek, co dotąd rozumiał,
 Że jak go Szaleństwo wodzi,
 Tak Żal bez Gniewu nie chodzi,
 Niepospolicie się zdumiał,
 Że Smutek boleść dotkliwą
 Z cichością znosił cierpliwą!
Z litości więc czy z pustoty
Chciał przerwać Smutku tęsknoty.
Ufny w broń, którą zwycięża
I bogi, i bogów pana,
Dobrywszy grotów z kołczana
Łuk poufały nateża.
 Lecz wszystkie, co puszczał, strzały,
 Jak gdyby w locie usnęły,
 Smutku nawet nie drasnęły
 I próżno na dół padały.
Na ten traf tak osobliwy
Bożek, co nie zna oporu,
Z natury swej popędliwy
Wpadł w impet złego humoru.
Dąsa się w złości zapędzie
Deptając nóżkami ziemię.
Całe strzał skruszywszy brzemię
Przysięga, że mścić się będzie.
Gdy, szczęściem, przypomniał sobie
Te nazbyt sprawdzone słowa,
Które Cytery królowa
W owej jeszcze rzekła dobie,
Kiedy lube słała dziecie
Na świata dla niej podbicie:
«Ktokolwiek i gdziekolwiek w żyjących jest rzedzie,
Prędzej lub później twoim niewolnikiem będzie.
Rozciągniesz moc potężną na ziemiach i niebie,
Wszystko zwalczysz, jednego nie zwyciężysz... siebie!
Nie ma Serc, których by twe groty nie przeszyły,

Tam chyba pocisk padnie bez skutku i siły,
Gdzie ognie, co z twych własnych pochodni się wszczęły,
Całą już czułość zajęły!»

Wtedy ułagodzoną tak przemówi głosem:

«Biedny Smutku! przestań się twoim trapić losem,

Dopókiż wiek trując marnie
Będiesz twe jątrzył męczarnie?
Ach, twe frasunki kryjome
Mnie są najlepiej znajome.
I łez, co z twych oczu płyną,
Jam niewinną jest przyczyną.
Niewinną, rzec mogę śmiało!
Czyliż to bowiem jest wina
Nieboraka Kupidyna,

Że szczęśliwych miłości na świecie tak mało?

Nie tak bywało przed laty,
Kiedy panował wiek złoty:
Bez ciernia wznosiły kwiaty,
Bez trosk płynęły pieszczoty!
Nie znały chmur dni pogodne!
A przez ponęty wzajemne
Niecąc tkliwości wzajemne
I serca spajając zgodne

Byłem pobudką razem i nadgodą Cnoty.

Lecz kiedy w dzikim sposobie,
Szaleństwo, zbyt rozhukane,
Mszcząc się za maluchną ranę
Wybiło mi oczy obie,
Kiedy ślepo i nawiasem
I latam, i puszczam strzały,
Czyż dziwna, że ledwie czasem
Wzajemne wznieczę zapały?
Że Piękność zwykle jest płocha,
Że ją Wabność tylko łechce,
Że w młodej stary się kocha,
Że starego młoda nie chce!
Że świat na opak się toczy,
Że jęczy w troskach i biedzie,

Nie ja winienem, co straciłem oczy,
Ale Szaleństwo, co ślepego wie dzie!
Nie troszcz się jednak, wszak przecie
Moc moja nie do szczętu upadła na świecie

Wymknę się swawolnej zgrai,
Co mnie upornie otacza,
I dobiorę przewodnika:
Fałsz się przed nim nie utai,
Z prostej on drogi nie zbacza,
Rzecz każdą trafnie przenika,
Bez wymysłu, bez przysady⁶,
W zdaniach się swoich nie mieni

I lekkie przebacza wady,
 I wierną życzliwość ceni.
 Przewodnik ten doświadczony
 – Od pięknej ludzi połowy
 Za nazbyt mało ważony –
 Zowie się: Rozsądek Zdrowy.
 Z jego pomocą może śledząc wszędzie
 Znajdę taką, że tobą pogardzać nie będzie.
 I choć rzadko zna szczęście, kto nazbyt jest tkliwym,
 Może jeszcze potrafię zrobić cię szczęśliwym!»
 Smutek, trudny do zwiedzenia
 (Bo nabył ostrożności w szkole doświadczenia),
 Słodkiej Kupida mowie
 Tymi wyrazy odpowie:
 «Mały, ale od starszych potężniejszy, boże,
 Czyż tobie skryto być może,
 Co się w sercu nędznym dzieje?
 Zgasły już dla mnie nadzieje!
 Pracą byłoby daremną
 Szukając po całym świecie
 Chcieć znaleźć dla mnie. wzajemną!
 Zamysł ten próżno powzięty!
 Czyliż wy, bogi, nie wiecie,
 Czyliż zwłaszcza tajno tobie,
 Że dla mnie już jest zamknięty
 Świat cały w jednej osobie?
 Jeśli twa litość jest szczerą,
 A owa boska potęga,
 Co źródło uczuć otwiera,
 Aniołów serca dosięga –
 Ku tej raczej obróć kroki,
 Pod której prawem wyroki
 Życ mi i jęczyć kazały.
 Oby!...» – chciał mówić dalej, ale rzadko
 Zbyt silna Czułość tłumaczy się gładko:
 Słowa na ustach konały,
 Ciężkie westchnienie głos tłumi,
 Zemdlony umilkł trochę.
 Wtym ten, co czekać nie umie,
 Podniósł już skrzydełka płocze
 (Pomniąc, że drogi czas gubi),
 Śpieszy w podróż przedsięwziętą,
 Bo do tej gwałtem się garnie
 Co z nim zręcznie igrać lubi
 I co sztuką niepojętą
 Igra z nim dotąd bezkarnie.
 Smutek zaś, gdy się ocuca,
 I srodze zdziwion obaczy,
 Że go podrażnił bożek i porzuca,
 Nie wie, co począc z rozpaczy!

Już mu jaskinia do reszty obrzydła,
Podniósł i on czarne skrzydła,
Choć bożek lotny już mu z oczu znika,
Śladem owej wdzięcznej woni,
Którą bóstwo Miłości w przelocie swym roni,
Smutek się także pomyka.
– Czy go naówczas dogonił,
Czy go do szczyrej litości nakłonił,
Czyli Smutku ulubiona
Miłością była zmiękczona,
Wiedzieć mi się nie dostało,
Ale twierdzić mogę śmiało
Rzecz pewną, że od tej pory,
Jak Smutek nędzny i blady
Za Miłością poszedł w ślady,
Chociaż nie zdaje się skory,
Choć niby z wolna się wlecze,
Rzadko mu Miłość uciecze!

Kiedy ją Szaleństwo wodzi,
Smutek w trop za nimi chodzi,
Pospolicie on przybywa,
Gdy zniknie Miłość pierzchliwa.
Lecz jeśli mi się nie marzy,
I to częstokroć się zdarzy:
Że za Miłością w szybkim lecąc pędzie
Razem z nią w Sercu osiedzie.

JÓZEF LIPIŃSKI

Wyjątek z Gazety Olimpu!

Gdzie Rozum i Dowcip mieszkają,
Gdzie Przyjaźń panuje tkliwa,
Gdzie gości Obojętność i Lenistwo bywa,
A o Miłości tylko że gadają,
 Ta słysząc, że się stała Dowcipu zabawą,
 Że Wabność dzielnie broniona,
 A z przyrodzenia będąc ciekawą,
 U kogoś w sercu utajona
 Wszystko pilnie wysłuchała.
 Wraz na wieczorne posiedzenie
Do Cytery uleciała.
I nie ubrana, jak z drogi,
Przybyła pomiędzy bogi!
 Było tam liczne bogów zgromadzenie,
 Tam usiadłszy wszyscy w koło
 W wesołości i ochocie
 Rozmawiali o Sobocie.¹
 Weszła Wabność! Odkryte miała dumne czoło,
 Pierwsze odbywszy ukłony
 Wszystkie jej wieszowały tak dzielnej obrony.
 Miłość, co na nią zawsze urażona,
 Rzekła: «Złej sprawie trzeba dobrego patrona!»
 Z Obojętności trochę żartowano,
 Że ją po głosie poznano.
 Miłość pieściła Siostrę, że jej przez swywołę
 Ciężkie sprawiła bole.
 Rozum siedział spokojnie, płaszczem obwiniony,
 Widać, że był urażony.
«Wiem – rzeczy – o mnie, co poeta marzył,
I o twym, Kupidzie, zgonie.
Niewdzięczny, jam go tyłą darami obdarzył!
Mów, czyś skonał na mym łonie?
Czy ci pod moim płaszczem nie było dogodno?»
«To prawda – rzekła Miłość – jednak było chłodno!...»
 Gdy tak żywo rozmawiały
 I wszystkie razem gadały,
 A każda była czym innym zajęta,
 W tym Czulość przypomniła
 Miłe dla wszystkich Święto!
 I zaraz wniosła,
 Aby z grona wysłać posła.
Wszystkie przychylnie tej radzie
Z ochotą ją przyjęły
I mocno się zajęły

Wyborem kogo w gromadzie!
Każdy się wydał ochoczy,
Ale na Rozum obrócono oczy.
– Rozum będzie posłem z nieba! –
Lecz Czułość rzekła: «Gdzie Serce mówi,
Dajmy pokój Rozumowi!
Mniej go na ten czas potrzeba!
Nie należy mieć bojaźni,
By Czułości brakli słowa!»
Siostry Kupida ujęła wymowa
I poselstwo wraz zlecono Przyjaźni!

SYNONIMA POLSKIE
Zaczące w roku 1808

M[ARIA] W[IRTEMBERSKA] Ustroić. Ozdobić. Okrasić

Wszystkie te słowa użyte bywają, gdy mówiąc o czymkolwiek chce się wyrazić, iż rzecz jaka upiększona została! –Jako to mówi się: *Ustroić* w wonne uploty świątynie bogów. *Ozdobić* przyjemnymi wygodami mieszkanie przyjaciela. *Okrasić* suchą prawdę poezji polorem.

Ustrojenie zawsze jest dziełem sztuki – gust dobry powinien *Ozdoby* wybierać. *Okrasę* najczęściej sama daje natura! Tak pył ten letki, którego lada ruszenie Zefirów zwiać potrafi, najpiękniejszą jest kwiatów *Okrasą*! Wychowanie staranne często może wrodzone cnoty miłymi *Ozdobić* przymiotami. Przepych zaś, bogatą ręką kuńszów, królewskie *Stroi* pałace. Młodzieniec opisując swą lubę rzekłby: «Czułość i Cnota duszę jej *Zdobią*, śnieżna szata powstać *Stroi* nadobną, a najmiłsza róży *Okrasa* farbi się na jej licu.»

M[ARIA] W[IRTEMBERSKA] Gibkie. Giętkie. Sprężyste

Gibkie wysmukłością się chlubi, *Giętkie* łatwo się nagina, *Sprężyste*, choć napięte, łatwo się samo sprostuje! Przełamać wszystkie trudno, jednak i w tym różnią się. Rzecz jaką *Sprężystą* przełamać łatwiej, *Gibką* trudniej, *Giętką* jeszcze trudniej.

Gibkość daje wyobrażenie delikatnej zgrabności, *Giętkość* miłego nagięcia, *Sprężystość* równoletkiego odskoku. *Gibki* kształt kaliny równiać można powiewnej trzciny, którą wiatr kołysze. *Giętkie* gałązki tej brzozy potulnie ten grób okrywają! *Sprężysty* ruch piersi często żal lub radość wewnętrzną wydają. *Sprężystość* tańcu celuje. *Gibkość* zda się być przymiotem właściwym pierwszej młodości! *Giętkość* bywa użyta i w sensie moralnym, jako to mówi się: «Człowiek ten jest *Giętki* w układach, umysł jego łatwo ugiąć można.»

M[ARIA] W[IRTEMBERSKA] Traf. Los. Przeznaczenie. Dola

Szczęście i nieszczęście od nich zależą. Lecz *Traf* nadchodzi niespodzianie i mija także.

Los jest ciągłym rządcą życia naszego. *Przeznaczeniu* oprzeć się nie można. *Dolę* możemy czasem sami sobie urządzić.

Traf jeden może czasem *Los* całego życia odmienić. Nic od *Przeznaczenia* obronić nie potrafi. Zła lub dobra *Dola* od niego zależy.

Traf dał mi poznać *Temirę*. Odtąd *Los*em moim ona jedynie rządzi.

Przeznaczeniem moim jest kochać ją szalenie, ale biada na moją *Dolę*, jeśli wzruszyć ją ku sobie nie zdołam.

Mówi się: *Traf* osobliwy, niespodziany, *Los* przyjemny, *Los* okrutny, smutne *Przeznaczenie*, szczęśliwa *Dola*.

M(ARIA) W[IRTEMBERSKA] Puszcza. Bór. Las. Gaj

Puszcza kilka, a czasem kilkanaście mil gruntu zawiera. *Bór* zwykle nie tak rozciąglą bywa. *Las* jeszcze mniejszy a *Gajów* granice okiem dojrzyć można. Pod tymi murawa ściele się, cień i chłód miły w nich mieszkają, świeża zieloność je zdobi!

Przez gęste zarośle *Puszczy* dzień ledwie przedrzeć się może, bagniste jej padoły, mgły i zaduch wydają! *Bór* już coś mnie, dzikiego wyobraża, a na same wspomnienie *Lasów* rozłożysty cień dębów, sosen powaga i pyszne buki zaraz w oczach stają! *Lasy* chętnie swe skarby udzielają. Totyż mówi się: Dobroczyenne *Lasy*, gęste *Bory*, okropne *Puszcze*, miłe *Gaje*.»

Hoże dryjady po *Gajach* błąkać się powinny, tam się fujarkom, tam się słowikom przysłuchują. Rozbójniki i niedźwiedzie w *Puszczach* mieszkają. Po *Lasach* i *Borach* zaś trąbki myśliwe, trzaskania biczów podróżnych i czasem pienia pastuchów echa powtarzają.

I tak życzyłabym, aby *Puszcze* nieprzebrane dzieliły Polskę od jej nieprzyjaciół. Żeby w tejże *Polszcze* szacowne z tylu miar *Lasy* lepiej szanować umiano. Żeby w naszych sosnowych *Borach* nie tyle piasku bywało. A domek mój żeby zawsze zielonymi *Gaikami* był otoczonym.

M[ARIA] W[IRTEMBERSKA] Obojętność. Niedbałość. Oziębłość

Wszystkie trzy przeciwne są czułości, lecz nie równie od niej dalekie. *Oziębłość* znać jej nigdy nie będzie, bo nie jest zdolną uczucia. *Niedbałość* znać jej nie dba. *Obojętność* już ją znała lub ją poznać może. *Oziębłość* zdaje się być wadą wrodzoną. *Niedbałość* może być skutkiem układu zamienionego w zwyczaj; zdarzenia zaś i przygody życia bywają *Obojętności* przyczyną.

Oziębłość bliską jest krewną nieczułości, letkim tylko cieniem różni się od niej! Cicha ją dobroczynność nie rozrzewni ani czyny szlachetne unieść nie potrafią. *Niedbałość* zaś lenistwem każde przytłumia poruszenie. *Obojętność*, jeżeli może być wzruszona, to prędzej gwałtowną namiętnością niż tkliwym uczuciem.

Oziębłość przechodząc koło cierpiącego, niczym nigdy me tknięta, minie go spokojnie. *Niedbałość* nawet go nie postrzeże. Widok ten poniewolnie *Obojętności* przykrym będzie; zechce wspomóc, ale jedynie dlatego, aby zwykłą odzyskać spokojność, z której promyk litości na chwilę ją wyprowadził, nie wzruszy się.

I tak rzekłabym: *Niedbałość* prowadzi moje kroki, kiedy me Serce nimi kieruje. *Obojętność* przyjaciół życie by moje truła. Znieść nie mogę, kiedy Polak z *Oziębłością* o lubej mówi Ojczyźnie.

T[ADEUSZ] M[ATUSZEWICZ] Gibkość. Giętkość. Sprężystość

Gibkość temu szczególnie służy, co z siebie jest wątłym. *Giętkość* słabość z mocą nie bez wdzięku łączy. *Sprężystość* siłą wyraźną opiera się musowi!

Gibka trzcina siania się za każdym wiatru powiewem! *Giętka* łoża powoduje się ręce, gładkie splatając koszyki; praca i gwałt ledwie nagięły łuk *Sprężysty*, jeszcze strzała powietrze porze, a on już dawno prostotę odzyskał.

Zrazu niespokojne Zefiry tręcały tylko z szelestem liście na *Gibkich* trzymające się pręcikach, powstał wiatr od zachodu i *Giętke* gałęzie kołysać się zaczęły. Przytarł na koniec szturm na pień *Sprężysty* zielonego dębu, zachwiał tylko jego wierzchołkiem i postrzegł, że łatwiej może przyjdzie mu kiedyś obalić go z korzeniem, niż przymusić teraz, aby dumnego unizył czoła.

Gibkiego Damon charakteru, nachylając się zawsze gwoli cudzych chęci, lichą i nikczemną wyjawiał słabość, nie ceniony od tych nawet, którym podchlebia. Piękna Ismena, z umysłem *Giętkim* jak jej kształtna kibić, zgaduje trafnie cudze skłonności, zręcznie z nich korzysta, umie drażnić i głaskać miłość własną, budzić smutki lub koić. W uczuciach własnych swobodna z cudzą igra czułością; zna próżności rozkosze, minęła się ze szczęściem. Arysta hartowna cnota i dusza *Sprężysta* ulec pod przemocą musiały. Jeżeli miękkość jedynie ulgę przynieść może, nie ma ulgi dla niego. Lecz ręka, co go ciśnie, sili się sama i morduje; jeżeli na chwilę osłabnie, powstać może cnota i z odzyskaną swobodą nowym zajaśnieć blaskiem.

L[UDWIK] K[ROPIŃSKI] Zadumanie. Zamyślenie

Zadumanie i *Zamyślenie* są to dwie farby, małym na pozór, wielkim w istocie różniące się cieniem, które malują duszę za okrąg zwyczajnych myśli wybiegłą.

Ten sam wyraz *Zamyślenie* wskazuje nam przejście myśli z natężoną uwagą za myśl powszednią. *Zadumanie* zaś wystawia nam słodką melancholię, w którą wpadamy przez wspomnienie równie nam miłych, jak i bolesnych zdarzeń!

Zamyślamy się więc zwykle nad tym, co będzie, ale wpadać w *Zadumanie* nie możemy, jak tylko nad tym, co już nam godziny i lata porwały!

Pierwsze – żyje przyszłością, drugie – rozkoszami zbiegłego szczęścia i cofnięciem myśli wstecz życia osładza nam niejako napój obecnej goryczy.

Patrz, jak mała Celinka, to dziecię wiosny, zaczynające podróż życia, wesoło igra po łące, lekkie ugania motyle i podobne sobie zrywa kwiaty! Nie *Zaduma* się ona jeszcze! Bo też jeszcze i przeszłość żadnych na jej pamięci nie wyryła urazów! *Zamyśla* się ona tylko niekiedy, i to nad tymi godzinami, które do niej z brzoskwinia, poziomkami lub nowymi zabawkami przylecieć mają.

Kiedy Newton puściwszy myśl w przestrzeń nieskończoności *Zamyślał* się nad budową świata i tą odwieczną wszechrzeczy harmonią, w głębokie wpadał *Zadumanie*!

Lecz po cóż w obcych uczuciach szukam znaczeń tych wyrazów? Ach, zbyt pamiętam, gdy ta jeszcze żyła, którą oplakuję, jak nieraz *Zamyślałem* się nad tym, jak by jej przyszłość przyjemną uczynić! Ale gdy już ostatnia z jej życia wybiła godzina – o, ileż razy odtąd promień księżycy w obłoki skryty, listek spadający z drzewa, czasem i mniej jeszcze ważne trafy, przypominając sercu mojemu ukochaną siostrę, wprowadzają w głębokie *Zadumanie*, od którego zawsze z żalem i ciężkim westchnieniem się odrywam!

I ty, dobra Halino! Nieraz może idąc nad brzegiem Wisły, wśród ciszy postępującego przed nocą wieczora, ciszy podobnej twemu sumieniu, zwróceniem myśli w przeszłość w słodkie wpadasz *Zadumanie* i łzę jej uronioną mieszasz z wodami, które twój gaik podmywają. Lub też wśród stolicy twych przodków, obudzona szczękiem oręży, upojona nadzieją, *Zamyślasz* się nad szczęściem zwrotu Ojczyzny, którą zdajesz się widzieć w przyszłości!

L[UDWIK] K[ROPIŃSKI] Smutek. Żal. Rozpacz

Smutek, Żal, Rozpacz są to spokojności i szczęścia ludzkiego nieprzyjaciele. Snują się oni nieustannie po drodze życia naszego! Traf ślepy i przeznaczenie władają nimi i wskazują serce, do którego wstąpić mają!

Smutek otoczony zgrają codziennie wkoło nas krąży: żalność, dolegliwość, troski, boleść, utrapienia i smętność są jego sługami, które jak drobne owady obsiadają człowieka, i nieustannie spędzane radością, wesołością, rozrywkami, a niekiedy i szczęściem, nieustannie odlatują i wracają się. *Smutku* postać jest tkliwa, wzrok łzą powleczony, westchnienia są jego odetchnieniem – lubi przyjaźń i na jej łonie łzy ociera!

Żal tworzy się przez wielkie straty, szczególnie miłych nam osób... Uderzający w serce piorun nieszczęścia w pierwszym momencie zatrzymuje wszystkie władze człowieka. Wówczas głos przyjaźni staje się niedołącznym, głos litości nieznośnym, a nawet oba zwiększają jeszcze potoki łez rzewnych!

Ale jakież *Smutek*, jakież *Żal* w porównanie iść może z *Rozpaczą*! Z *Rozpaczą*, która wchodzi do serca po ustąpieniu z niego nadziei, zajmuje całą duszę, wygania z niej tkliwość i rozczulenie, rozlewa jad swój żółty na postać nieszczęśliwego. I oczy, które wzrokiem przyjemnym nasze kiedyś podbijały serca, z których nieraz się łza wykradała dla litości, przyjaźni i miłości, których promień naszą pożerał spokojność, też same, niestety, oczy! obłąkaniem i ostrością przerażają nas dzisiaj i trwożą! *Rozpacz* ta nieszczęśliwa rozciąga na całą naturę czarną zasłonę, nie znosi blasku słońca, z pogardą depcze wonią i krasą uprzyjemnione kwiaty. Nienawidzi ludzi i samemu uwłaszcza Bogu! Patrz, z jakim pośpiechem ręka *Rozpaczy* chwyta zarażony napój trucizną i jak znieważa okropnym uśmiechem trwożę i łzy przyjaźni i krewnych!

Tak tedy *Smutek* z człowiekiem przychodzi na świat i do tkliwości go zwyczajają. *Żal* oswaja go z nieszczęściem, hartuje Serce i osłabia w nim chęć do życia. *Rozpacz* zaś nieszczęśliwych wprowadza do grobu!

Malwino! Widziałem cię w *Smutku*, patrzę na ciebie w *Żalu*, który po stracie ukochanego od ciebie Alkara wyrył na twarzy twojej ślady nieszczęścia. Nie postępuj dalej, bo o krok tylko jeden *Rozpacz* od *Żalu* mieszka. Pomnij raczej na te pamiętne Emroda słowa:

Że człek, co go natura wiąże z światem całym,
Żal winien znikającym, życie pozostałym!
Że kto zwycięża siebie dla innych niż siebie,
Tracąc część człeka, Boże! część przybiera z Ciebie!
Niech więc, gdy los tve życie nieszczęściami znaczy,
Cnota strzeże granicy Żalu od Rozpaczy.
I *Smutek* tylko jeden z Alkara wspomnieniem,
Niech lekkiej swej łzy spadek ogłasza westchnieniem.

I[GNACY] P[OTOCKI] Milczenie. Milczącość. Zamilczenie. Cichość. Cisza

Milczenie oznacza właściwie stan zawieszenia mowy ludzkiej. Dobrze się zatem mówi: «po długich mowach nastąpiło milczenie» albo «nakazują milczenie» Wszak przerośnie wolno mówić: «milczą muzy, nauki, muzyka» i tym podobnie.

Milczącość – dawne słowo polskie, mało dzisiaj używane, oznacza nałóg człowieka mało mówiącego lub mówić nie lubiącego, na przykład *Milczącość* jest wadą w poufalej rozmowie, a przymiotem w rzeczach tajemniczy wymagających.

Zamilczenie wychodzi na nieodpowiadanie zupełne lub opuszczenie w mowie jakiej okoliczności z powodu bojaźniej, chytryści lub jakiegożkolwiek duszy poruszenia. I tak mówi się: «strofowany zamilkł» lub: «znajdziesz w tym piśmie niejedne zamilczenie».

Cichość nie tylko jest zawieszeniem mowy ludzkiej, ale wszelkiego głosu, to jest dźwięku, trzasku, szelestu, świstu, słowem, wszystkich uczuć słuchu. Używa się przerośnie i do rzeczy pod zmysły nie podpadających – oznaczając wtedy spokojność i łagodność, jako to: «cichość sumienia», «cichość chuci ludzkich» i tam dalej.

Cisza, między nią a *Cichością* ta zachodzi różnica, iż pierwszą stosujemy najczęściej do umarzania się gwałtownych w przyrodzeniu huków, jako to: «cisza gór, lasów, morza».

Na koniec wyraz przymiotny *Cichy* ma tę w języku naszym własność, iż oznacza słabe głosu natężenie, bądź w człoku, bądź ogólnie w przyrodzeniu: «ciche wymawianie», «cicha rzeka», «cichy las».

T[ADEUSZ] M[ATUSZEWICZ] Prostość. Prostota. Prostactwo

Prostość zawsze jest zaletą, *Prostota* nie zawsze naganą. *Prostactwo* winą raczej losu i wychowania, jak osoby. *Prostość* rozsądku broni go od zdań krzywych i błędnych. *Prostota* serca broni go od obłudy i fałszu. Bez *Prostości* w rozumie nie można być trafnym, bo trafność jest wydoskonaloną *Prostością*. Bez *Prostoty* w sercu nie można być szlachetnie otwartym, rzetelnym, wspaniałym, bo pierwiastkiem tych zalet jest *Prostota*.

Ale *Prostota* serca, kiedy jej nie oświeca *Prostość* rozsądku, łatwo zwiedzeniu podpada, choć sama złego nie doradzi, sama się go ustrzec nie umie. Bywa nieprzezorność obok *Prostoty*, jak obok dobroci głupstwo! Kto posiada *Prostość* w sposobie dostrzegania i sądzenia, a *Prostotę* w sposobie czucia, temu trochę *Prostactwa* w układności i obcowaniu społecznym przebaczyć można.

L[UDWIK] K[ROPIŃSKI] Kichać. Kochać się

Kichać i *Kochać* się są to dwa wyrazy w brzmieniu podobne sobie, lecz niezmiernie różniące się w istocie!

Kichanie kręci w nosie – *Kochanie* w Sercu. *Kichający* może nie *Kochać* – *Kochający* kiedykolwiek *Kichnąć* musi.

Kich jest ciężkim westchnieniem nosa – westchnienie ciężkim *Kichaniem* Serca.

Kich się z hałasem przed wszystkimi wydaje – *Kochanie* przed wszystkimi się kryje.

Kichającemu zawsze mówi się «wiwat!» – nad *Kochającym* zwykle się litują.

Mocno *Kichających* mnogość nieskończona – mocno *Kochających* jakże jest mało!

Są nosy, które często i całe życie *Kichają* – są Serca, które często, ale nie całe życie *Kochają*.

Kichający często nos ociera – *Kochający* czasem z łez oczy.

Czym jest wzrok kochanki dla Serca *Kochającego*, tym tabaka dla nosa *Kichającego*.

Nos, który nigdy nie *Kichał*, Serce, które nigdy nie *Kochało*, niewarte są wspomnienia.

Szczęśliwy! Komu *Kichającemu* przytomna kochanka «wiwat!» – mówi.

[JAN] M[AKSYMILIAN] F[REDRO]
Lubić. Kochać

Lubić i *Kochać*– dwa podobne słowa,
Czułość ich różni, obojętność miesza;
Pierwsze się w zmysłach i rodzi, i chowa,
Drugie zaś tylko jedno serce skrzesza!
 Každy coś w życiu mniej lub więcej *Lubił*
 Lubi i *lubić* jeszcze często będzie.
 Ten zaś, co *Kochał* i spokojność zgubił,
 Ten w kochających już nie stanie rzędzie.
Między *Lubieniem* a *Kochaniem* tkliwym
Taż sama różność, te same są cienia,
Co między szczęściem trwałym i prawdziwym
A życiem cichym wolnym od cierpienia.
 Z tych dwóch wyrazów pierwszy nie ma granic,
 Zmiana w nim cechy płochości nie bierze,
 Drugi zaś w świecie miany zwykle za nic,
 Raz tylko w życiu można użyć szczyrze.
Wszak można *Lubić*, nie kochając wcale,
Kochać zaś ciężko, by nie *Lubić* razem,
Gdyż wszystkie czucia w miłosnym zapale
Tym jednym tylko kryślą się wyrazem!
 A podobieństwa kończąc rozróżnienie
 Powiem, że *Lubię* samotną gęstwinę,
 Wiosnę, szmer wody i słowika pienie,
 Lecz jedną *Kocham* na świecie Halinę.

**Z Archiwum
Sentymetalnej Przyjaźni**

**LISTY
LUDWIKA
KROPIŃSKIEGO
DO
CZARTORYSKICH**

[Do Marii Wirtemberskiej]

Od nikogo z Sieniawy dotąd ani słowa nie miałem. Dotąd o niczym nie słyszę i nie słyszałem, co się na świecie dzieje. Pisałem kilka razy. Nie jestem zdrow. Życ długo nie zamierzam sobie, ożenić się nie myślę. Interesa mnie tak nagle wydarzone ścisnęły, iż musiałbym pod rozbiór Woronczyn oddać, gdyby Książę Adam następnego projektu nie przyjął:

Mam długów 160 000. Wieś moja ze wszystkimi porządkami, zapasami, biblioteką, obrazami, meblami, srebrami i wszystkim a wszystkim jest warta, licząc najtaniej, złp. 530 000. Ja chcę, żeby Książę Adam dług na siebie przyjął, mnie arendę zostawił, dożywocie, a ja mu wszystko za jego własność oddam i zaraz transakcjami obwaruję. Oba na tym zyskamy, a szczególnie ja, bo – spokojność, której koniecznie, nawet fizycznie, potrzebuję! Nie podawałbym zapewne tego projektu, gdyby był stratnym lub złym dla Br. Fig. Honorem ręczę, że Woronczyn tak jest dobry, tak jest wygodny i tak ładny, iż po Puławach wyzywam inne znane kampanie, które by mu zrównały, co do wszystkich wiejskich wygod i przyjemności. Ach, jakbym rad, żeby Woronczyn był Lucyny, zaraz bym nawet z niego ustąpił. Tysiące spacerów, tysiące słowików, lasków, łąk, ogrody wszelkiego rodzaju, słowem to wszystko, co lubisz w Puławach. Półtora dnia jazdy od Puław, dzień od Klewania, dzień od Włodawy, dwa dni od Mikołajewa i Zienkowa.

Doprawdy, pomyśl o tym, Kochana Księżno. Jeżelibyś chciała, Br. Fig. zamieni na Garbów. Woronczyn 20 000 intraty uczyni. Ja jeszcze się podejmę dom wymurować. Jeżeli zaś Br. Fig. projektu nie przyjmie przez jaką fałszywą delikatność, Woronczyn pod rozbiór w tym roku pójdzie i ja nic mieć nie będę. *Chère Amie*, pogadaj o tym z Bratem, jakbym rad, żebyście teraz widzieli Woronczyn, kiedy jest piękny. W lesie wielkim, gdzie jest pasieka, stawiam mały domek między osobliwszej wielkości i piękności drzewami. Miejsce to zowie się Tęsknota. Stawiam w nadziei, że to będzie Lucyny lub Haliny. Bo żyć długo nie myślę i nie potrzebuję. I tak się lękam, aby mnie śmierć nie zaskoczyła przed dojściem do skutku tego projektu.

Zmiłujcie się, napiszcie, choć to jedno słowo – że żyjecie. Ja co dzień jestem w obawie mienia gorączki nerwowej, która jest we wsi i wokoło mnie. W lesie całe dnie przepędzam. *Adieu, Chère Lucyna et Unique Amie*. Przez Br. Fig. napisz mi słów kilka. Może się gniewacie, możecie już i zapomnieli. *Adieu!* Mój Woronczyn dotąd w Administracji Rządowej. Nic pewnego nawet co do osoby.

21 maja 1813 Wor[onczyn]

[Do Adama Jerzego Czartoryskiego]

Jutro wyjeżdżam. A że na kilka rzeczy zapomniałem Księżciu odpowiedzieć, więc biorę się do pióra. Bydło w tym kraju jest niezmiernie drogie, trzeba więc z kupnem onego się wstrzymać. Konie tańsze, tych więc można kupić dla Puław i Zakrzówka. Tabelę długów odebrałem, a pensów trochę miałem. Potrzebowałbym później pewniejszej. Straszna jest i niezmiernie od epoki działu powiększona. Wszystko to nic, byleby Granowszczyzny szmat sprzedać. O Braniczkiej wątpię. Gdyby chciała kupić, nie wyrzekłaby, że dusza 9-cio morgowa warta jest dk. 50. Więc albo tego nie powiedziała, jeśli chce kupić, albo, jeśli powiedziała, kupić nie myśli. Wreszcie zobaczymy, co jest prawdą. Po odstąpieniu Sobańskiego, który w Woronczynie tak był bliskim kupna, wątpię, ale nie rozpaczam, abyśmy mogli wziąć po dk. 50. Nim przedam (choćby przez sztafetę), uwiadomię Księcia, po czemu będą dawać, to jest, jeżeli nie dadzą po dk. 50.

Trzeba wiedzieć, że cena duszy w każdej prowincji jest różna. To pochodzi z różnicy powinności pańszczyznianych. I tak, gdzie robią 3 dni w tydzień, tam dusza jest warta od 80 do 100 dk. W Sieniawie tanio, jeżeli się sprzedaje za 70 lub 80 dk. W mojej wsi dusza wynosi do dk. 120. W Litwie i w innych prowincjach, gdzie produkta są drogie, wyniesie do 3^{ch} i 4^{ch} tysięcy. Przyczyny tego są jasne, gdzie więcej pańszczyzny, gruntów i lasów, tam więcej można siać [i] zbierać, transportować, przerabiać na wódkę, a co zatem, więcej intraty. Bo rezultatem zawsze jest jedno, czy się kupuje na duszę, czy na ziarno, czy na pańszczyznę, aby płacić intratę za 5200. Granów, potraciwszy podatki, ekspensa gruntowe i opłaty oficjalistów, nigdy jeszcze nie wniósł do kasy czystych 500 000, chociaż przy dobrym gospodarstwie i dobrej cenie produktów uczynić by więcej powinien. Gdybyśmy więc część przedali, w proporcji szacunku 40 milionów za całość, wzięlibyśmy, nie wchodząc po czemu wypadnie dusza, więcej jak wartość intraty. Pod tym więc względem uważać trzeba dóbr szacunek, inaczej błąkać się będziemy i nie znajdziemy gruntownej zasady, na której by można oprzeć pewność dobrej lub złej sprzedaży. N[ota] b[ene] nigdy do takiego rachunku nie powinna wchodzić spekulacyjna intrata. Ach, 10 milionów za Granów byłoby to szczęściem, o którym ani my, ani Rychter, ani Bieńkowski, ani nikt nie mieli wyobrażenia. Taką to zasadę położyłem za prawidło Bień[kowskiemu] do sprzedaży Sieniawy, i to tylko częstkami sprzedać radziłem, co innych z kolei folwarków nie psuje. Ale częstkowo przedawać bez tego względu ci tylko pragnę, co mają nadzieję swojego zysku.

Ale dosyć już o interesach. Co nastąpi z nami, nie wiem, ale wkrótce wiedzieć będę i nie omieszkać, jak najprędzej spokojność Księcia zaspokoić. Nie spodziewam się nic złego, bo sprzedać jest teraz pora. Nie sprzedać to byłoby najgorszym.

Pisziesz mi, Książę, abym melancholią i smutki odpędzał. O, gdyby one były jak owady, które machnięciem ręki odpędzić można, pewnie bym to uczynił. Ale one są jak planty powojowe, które w sercu korzenie rozpościerają, a pną się w górę i myśli wszystkie obwijają. Kiedy nie ma zdrowia, a wiele kłopotów, strapień i cierpień, kiedy i przez wiek, i przez rozmaite wydarzenia i okoliczności straciło się wszelkie iluzje, kiedy żadno omanienie nas nie słucha, żaden entuzjizm nas nie unosi, wówczas zaczynamy śpiewać piosneczkę: *Vanitas Vanitatum*, zaczynamy lubić samotność, odchęcamy się od wszystkiego i wszystko zaprawiamy goryczą. Jest to stan smutny, ale zwykły tym, którzy przeszli przez wszelkie doświadczenia, którzy poznali zmienność i znikomość wszystkiego, poznali świat i ludzi, a poznawszy uciekli – jak ja – w lasy. Tu mnie więc, jak i księżciu w Marynkach, zdarza się przyjemnych chwil użyć, dlatego może, żeśmy sami. Ach, miałem racyją napisać!...

Witam cię, samotności! Witam moje ściany!
Opuściłem was szczęścia marzeniem zbląkany,
Upokorzony wracam, żal jest moją karą:
Za sercem szedłem, serca stałem się ofiarą!

.....
W ustroni osłoniętej gęstwą drzew dokoła,
Gdzie się promień słoneczny ledwie przedrzeć zdoła,
Przed zgiełkiem i marnością zepsutego świata
Ukryjcie życiu memu naznaczone lata.
Wyglądźcie z mej pamięci przeszłości wspomnienia,
Niech serce znajdzie ulgę w czystości sumnienia,
Niech w nim słodka tęsknota swój balsam rozleje,
W drzewach chcę mieć przyjaciół, w wieczności nadzieję.

Wieczności! a, a, a... Te wiersze są moje, ale uczucia w nich zawarte są nam wspólne. Nadaremnie choremu mówić – nie choruj; smutnemu – nie smuć się. Bez przyczyn nie ma skutków, a w boleściach moralnych, choć i przyczyny ustaną, często jeszcze ich skutki trwają. Ja czuję w sobie wszystkie własności i zarody prawdziwej filozofii. Żyję sam, bez nadziei, bez namiętności, bez żadnych pragnień, wszystko, co jest światowym, małym jest w oczach moich. Śmieję się z ludzkich zabiegów, z ich przezorności, z ich układów, z ich marzeń i sadzeń; przecież są czasem drobiazgi, które owego mniemanego mnie filozofa do gruntu przejmują i wówczas mówię z Montaignem: «Czymże jestem?» – Jesteśmy ludzie, i ja chcę być człowiekiem, dopóki nim być nie przestanę. Niegdyś, niedawno nawet, miałem trocha chęci zostawić po sobie *quelques traces de mon existence*. Dziś i tę chęć bez powrotu na zawsze utraciłem. Może nawet przyjdzie ta chwila, której już po dwakroć bliskim byłem, że spalę wszystkie moje bazgraniny, aby ludzie następni nie wiedzieli, że byłem; jak rad bym, aby teraz żyjący nie wiedzieli, że jestem.

List ten piszę w wilią mego wyjazdu, równie jak Księżę pod cieniem drzew. Trzy psy około mnie i dwie sarny leżą, kawka przed tym papierem na stole spoczywa, paw z dala stoi i na chleb czeka, bocian po łące za żyrem chodzi; oto jest moje społeczeństwo na zawsze. Ptaki i sarny mnie bawią. Psy wiernie mnie strzegą. Niebo czyste, trawniki zielone, drzewa cieniste, jezioro się błyszczy, słońce ku zachodowi, cicho, spokojnie, acz smutno. Dobrze mi jest i z żalem za tym wszystkim wsiądę jutro w powóz, ale z chęcią najżywszą zrobić wszystko po dług życzeń Księcia, dla którego przyjaźń i życzenia zawsze są jedno.

Krop.

23 lipca 1816 z Woroszczyzna²
4 aug

Czytałem też wczoraj Sokolnickiego krytykę na *Ludgardę*. O, jakież przednie rzeczy! Jak głupi się śmiałem. Pływa sobie po chaos, w którym i jego rozsądek się zamęcił. Wdzięczny mu jestem, bom się uśmieł, wdzięczny mu jestem, bo nie drwi i nie szydzi. Żałuję, że nie mogę być równie wdzięcznym X^{om25}, którzy ani oni dla mnie nie byli obojętnymi, ani ja dla nich. Stało się. A że co się stało, nie może się powrócić, więc lepiej o tym na zawsze umilknąć i zamknąć w sobie myśli i uczucia z tego powodu.

Żegnaj Księcia. Trzeba przerwać smutne marzenia, trzeba jeszcze pochodzić z moimi przyjaciółmi i potem pójść spać, aby jutro, *summo mane* ruszyć tam, gdzie mnie Przyjaźń dla Księcia prowadzi.

To, co mówił ks. Konst. o Szmon. bardzo mnie zasmuciło. Żadnej nadziei, życie upływa, trzeba więc opuścić miłe marzenia i dni jesienne życia, ile można, przyjemnymi uczynić. I ta pora ma swoje wdzięki i rozkosze. Będzie ich Br. Fig. używać, jeśli zejdzie z teatru, na któ-

rym więcej go potrzebują, niż on jest potrzebnym, i na którym teraz jest nie w miejscu. Odczytaj, Książę, mój list do siebie wierszami przed kilkunastu laty pisany, a przekonasz się, że wieszczym duchem radziłem to, [co] dziś sam czynić pragniesz i uczynisz. Co więc ja kończę, Książę zaczynasz.

[Do Adama Jerzego Czartoryskiego]

Nad wszelkie spodziewanie odebrałem list Księcia, list który mnie niesłychanie zadziwił i przejął. Kazanie to, a raczej ostrzeżenie, przyjąłem za skutek przyjaźni, której od dawna poświęciwszy się cały znajduję jej wdzięczność w tym liście, w którym acz więcej domyśliłem się, jak wyczytałem, niemniej jednak wdzięcznym jestem. Szanuję nawet tę delikatną zasłonę, która wesołością okryła szczegółową otwartość, a zostawiła mi domysł tego, co żądają po mnie, abym uczynił i co już myśl moja uprzedziła.

Nie wiem powodów rozmów Księcia z Ojcem i z Matką, nie rozumiem powodów terazniejszego kazania, a bardziej jeszcze, co mogło Księcia przekonać, że ja tak męczę. drugich, jak gdybym w tym upodobanie zakładał.

Czy tylko to nie inni sprawiają cierpienia, a na mój rachunek je kładą? Czy ci, co o nich donoszą lub je widzieć zdają się, nie mylą się?

Piszesz mi Księżę, «że miałeś oczy i widziałeś», że «nic mu nie uszło», o, co tu, przekonał mnie list Księcia, żeś wcale co innego widział w tym właśnie, co tak mocno zajmuje, czy też trwoży, czy obraża tyle osób mnie miłych. Zasadą mojego całego życia było nie być narzędziem niczyich cierpień i z tej strony spokojnym jestem. A co do miłości, nie musiałem w niej nic ani tak złego, ani tak nierozsądnego popełnić, bo to samo kazanie, ba, tyle razy mogłoby służyć samemu Autorowi.

Pewien jestem, że Osoba *en question* której prawdziwa przyjaźń dla mnie jest szczęściem, dałaby mi świadectwo, że moje postęпки, w szaleństwie uczucia nawet, były mierzone delikatnością, uczciwością i zapewne, jeśli nie pomniejszały, to nie powiększały jej cierpień. Ale gdy ta jej przyjaźń, ostudzająca raczej, a nie rażąca, tyle oczu zwraca, tyle niespokojności tylu osobom sprawia, unikać jej będę, i w tym możesz Księżę siebie i Księstwo zaspokoić. Umysł mój, jak Księżę zowiesz, chory, nie odjął mi jeszcze rozsądku, trafności, a bardziej tego domysłu, którego w całej mocy doświadczyłem czytając list WKsMości.

Wiem ja, co i jak komu się co zdawało, czyją ręką odmalowane są cierpienia, których to ja miałem być przyczyną. Resztę topiąc w sobie, mogę Księcia świętym honorem zaręczyć, że mało sto razy pozory wielce myliły, i że łzy, które Osoba wylewała często odbierając moje listy lub w przytomności mojej były tysiąc razy skutkiem, żem jej chciał je otrzeć, pocieszając ją w cierpieniach, których inni sprawcami byli, i były skutkiem rozstania się i drażliwości fizycznej. Oto jest prawda. List Księcia zmusił mię do tej otwartości, która jest duszą przyjaźni.

Ale już dosyć o tym, co mnie jest, a jeszcze może być przykrym. Jakokolwiek i gdziekolwiek będę, wszędzie nie przestanę być Przyjacielem Księcia.

Gole chcąc się przysłużyć Księciu Gen. nie chce, abym jechał do Lubienia. Księżę mnie więc zatrzymuje. Ja jednak na końcu augusta koniecznie wyjadę. Pod koszem Łuckim i Dubnem wielkie zgromadzenia.

Z najgłębszego serca życzę, aby wody zdrowie Księciu i Księżnie dały.

5 aug. Sien[iawa]

Spis rzeczy

ALINA ALEKSANDROWICZ Z kręgu Marii Wirtemberskiej

- I. Maria Winemberska w Puławach
- II. «Błękitne soboty» Marii Witemberskiej – «Muz i Pęzia żarty»
- III. Synonima polskie

LUDWIK KROPIŃSKI Wiersze ofiarowane Marii Wirtemberskiej

Ody

- Oda I. Do Dionizego Książnina.
- Oda II. Do J. O. Księcia Generała Czartoryskiego
- Oda III. Do Boga
- Oda IV. Do Dionizego Książnina
- Oda VI. Do przyjaciół
- Oda VIII. Do lekarza
- Oda IX. Do Czasu
- Oda X. Do Lucyny (*Jakże podobny Lucynie...*)
- Oda XI. Do Lucyny (*Już to północy godzina bije...*)
- Oda XII. Do Lucyny (*Szczęśliwy! w czym sercu mieszka pokój cichy...*)
- Oda XIII. Do Lucyny (*Chociaż to mówią, że nie masz na ziemi...*)
- Oda XIV. Do obojętnej Lucyny (*Choć ciebie kocham, Lucyno...*)
- Oda XV. Na przegraną w warcaby

Pieśnie

- II. Skowronek do
- IV. *Jeśli ci się ujrzeć zdarzy*

- O strumyku do Haliny
- Do Jana
- Motyl do Malwiny

Listy

Listy pisane do Matusewicza z Łańcuta do Sieniawy

- List I. (*O człowieku, pełen zdrady!*)
- Odpowiedź Matusewicza z Sieniawy (*Nie miałem bynajmniej celu zwodzić ciebie...*)
- List II. Do Matusewicza z Łańcuta (*Hola, mospanie! cóż to się znaczy...*)
- List III. Do Matusewicza z Sieniawy do Łańcuta (*By los i szczęścia, i sławy...*)
- List IV. Do Matusewicza z Łańcuta do Sieniawy (*Precz, nigdyś wdzięczna liro Homera...*)

DZIEŁA MIŁOŚCI
czyli
Muz i Pęzia żarty

Miłość żeglarzem
Kuźnia miłości
Miłość i Śmiałość
Miłość i Podejrzliwość
Żale Miłości przed matką
Wojna Miłości z Przyjaźnią
Czas do Malwiny

ALEKSANDER LINOWSKI

Herbata z winem

JAN MAKSYMILIAN FREDRO

**Wiersze ofiarowane
księżnie**

Marii z Czartoryskich Wirtemberskiej

Do słowika
Do Haliny (*Miłością – to głębokie ja zowie wrażenie...*)
Do Haliny (*Na samej tylko miłości wspomnienie...*)
Moje dumania
Napis położony pod sylwetą Haliny
Miłość stała
Marzenie moje w chorobie. Do Haliny

BŁĘKITNE SOBOTY

Julian Ursyn Niemcewicz, Miłość Ojczyzny
Ignacy Nosarzewski, Miłość i Lenistwo
Ignacy Nosarzewski, Miłość i Wabność (*Zwiedziona Miłość płonnymi zaloty...*)
Józef Lipiński, Miłość i Obojętność
Józef Lipiński, Miłość i Zazdrość
Józef Lipiński, Miłość i Przyjaźń
Jan Maksymilian Fredro, Miłość i Obojętność
Ignacy Nosarzewski, Miłość i przeszkody
Julian Ursyn Niemcewicz, Miłość i Wabność (*Lubo przyjętym na świecie mniemaniem...*)
Izabela Czartoryska, *LesAmours*
Izabela Czartoryska, Amorki (przeł. Izabela Rogozińska)
Tadeusz Matuszewicz, Miłość i Smutek
Józef Lipiński, Wyjątek z Gazety Olimpu

SYNONIMA POLSKIE

M[aria] W[irtemberska], Ustroić. Ozdobić. Okrasić
M[aria]W[inemberska], Traf. Los. Przeznaczenie. Dola
M[aria]W[irtemberska], Puszcza. Bór. Las. Gaj
M[aria]W[irtemberska], Obojętność. Niedbałość. Oziębłość
T[adeusz] M[atuzewicz], Gibkość. Giętkość. Sprężystość

L[udwik]K[ropiński], Zadumanie. Zamyślenie
L[udwik]K[ropiński], Smutek. Żal. Rozpacz
I[gnacy] P[otocki], Milczenie. Milczącość. Zamilczenie. Cichość. Cisza
T[adeusz]M[atuszewicz], Prostość. Prostota. Prostactwo
L[udwik] K[ropiński], Kichać. Kochać się
J[an] M[aksymilian] F[redro], Lubić, Kochać

**Z Archiwum Sentymentalnej Przyjaźni
LISTY LUDWIKA KROPIŃSKIEGO
DO CZARTORYSKICH**

[Do Marii Wirtemberskiej]
[Do Adama Jerzego Czartoryskiego]
[Do Adama Jerzego Czartoryskiego]

Korekta: Agnieszka Ceglowska